MAGAZYN

Bydgoscy działkowcy nie chcą do Torunia. Grożą, że będą wychodzić z PZD
Str. 16

George Friedman, amerykański politolog, mówi o Rosji, NATO i Bliskim Wschodzie
Str. 13-15

Telemagazyn
z programem TV i zapowiedzią najciekawszych filmów, seriali i programów

Nr ISSN 1230-9192
Nr indeksu 350680
9 771230 919059 38

www.expressbydgoski.pl

Nr 217 (11405) | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Express BYDGOSKI

37 lat

Piątek, 18.09.2026

Apteka tylko dla ludzi o mocnych nerwach
Dawno temu, w erze recept papierowych, pewien mężczyzna przyniósł receptę, która przez kilka dni przeleżała w gołębniku pełnym ptaków. **Str. 9**

Kronika bydgoska
Idź na ulicę Dworcową lub zajrzyj w inne zakamarki naszego miasta. Cały czas warto to zrobić
Str. 2

Relaks
Krzyżówki do kawy. Nowości w programie TV

Nie przenoście nam okręgu do Torunia! Bydgoscy działkowcy na razie ostrzegają

FOT. 123RF/ZDJĘCIE ILUSTRACYJNE

Bydgoszcz czy Toruń? Toruń czy Bydgoszcz? Działkowcy nie chcą połączenia okręgów Bydgoskiego i Toruńsko- Włocławskiego PZD w jeden - Kujawsko-Pomorski. Cicha wojenka toczy się też o nową siedzibę, bo jak wieść niesie „Bydgoszcz przegra, jak zawsze, a my nie chcemy do Torunia". Decyzji jeszcze nie ma, ale strach już zajrzał do ROD-ów – **Str. 17**

Bezpieczeństwo

Policja bezradna w sprawie zdjętych blokad w hulajnogach

W regionie do połowy roku odnotowano 30 wypadków z udziałem użytkowników hulajnóg elektrycznych. Jedna osoba zginęła.
Str. 3

Z naszych stron

Aż trudno uwierzyć. To już koniec remontu Placu Wolności

Rewitalizacja Placu Wolności ruszyła w kwietniu 2024 r. Na starcie był poślizg, bo przedłużyła się budowa zbiornika retencyjnego.
Str. 4

Terroryzują całą klatkę schodową
Szokujące sceny w jednym z budynków w bydgoskim Fordonie.
Str. 5

Ziemniaki stają się towarem deficytowym T
Ziemniaków jest w tym roku mniej nie tylko w Polsce. To między innymi efekt suszy i upałów **Str. 10**

FOT. PIXABAY

eprasa.pl d72073f4ec

POLECAMY

PONIEDZIAŁEK: Sport z regionu i świata WTOREK: Strefa Biznesu ŚRODA: Strona zdrowia

18.09.2026
Piątek

Dziś imieniny: Ireny, Ryszardy, Stanisława i Stefani
104 dni do końca roku, Dzień Pierwszej Miłości

EXPRESS BYDGOSKI

Redaktor naczelna
Alicja Polewska
Z-cy redaktor naczelnej
Justyna Wojciechowska-Narloch
Lucyna Talaśka-Klich
Jakub Stykowski
Wydawca dnia
Robert Borzyszkowski

www.express.bydgoski.pl

Polska Press
Makroregion Wielkopolska Kujawsko-Pomorskie
Redakcja ul. Zamoyskiego 2,
85-063 Bydgoszcz, tel. 52 32 63 100
redakcja@express.bydgoski.pl
Prezes Makroregionu
Marek Ciesielski
Dyrektor reklamy
Agnieszka Perlińska
Dyrektor marketingu
Katarzyna Jabłońska
Druk
Polska Press Oddział Poligrafia,
85-438 Bydgoszcz,
ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.express.bydgoski.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Komentarz dnia

Alicja Polewska:
Ziemniaki, kartofle, pyry, grule...

Redaktor Naczelna

Albo ziemniorki. Nie wiem, dlaczego ani kiedy zaczęliśmy mówić tak w domu. Może córka na etapie przedszkolnym przekręciła? Bez znaczenia, ważne, że wszyscy wiemy, o co chodzi.

Jeśli nie byliście w gdyńskim Muzeum Emigracji przy ul. Polskiej, to pewnie nie kojarzycie, że właśnie tam znajduje się fragment wystawy poświęcony ziemniakom. A konkretnie ich znaczeniu w XIX wieku na ziemiach polskich (pod zaborami). To dzięki tym amerykańskim bulwom początkowo uprawianym jako roślina ozdobna, znacząco zmniejszył się głód na wsi. Bo pyra rośnie właściwie wszędzie, a teraz wydaje nam się najzwyczajniejszym elementem obiadu. Do czasu.

Otóż mamy właśnie niedobór kartoflany na rynku. W ubiegłym roku był problem ze sprzedażą jadalnych odmian, to rolnicy w tym roku wysadzili ich mniej. Do tego doszły słabe zbiory w zachodniej Polsce (susza i gorąco). W sklepach więc ceny w górę, ale nie na skupach. Co może być za rok, łatwo raczej wyliczyć.

E tam, machnie ręką jeden z drugim. Toć w marketach leży tego pełno i to najróżniejszych, a poza tym teraz to się jada bataty (słodkie ziemniaki), żeby pokazać, że na talerzu jest trendy i cool. A, no i do stołówek szkolnych lewicowcy wrzucili na siłę warzywa, a ziemniak warzywem jest, prawda? No jest, ale sam traktowany jest raczej jako baza niż podstawowe warzywo w diecie, więc argument taki sobie. Na wzrost upraw raczej nie wpłynie. A co do marketów, to kiedy poczytacie etykiety, może się okazać, że bulwy są z Niemiec, Egiptu czy Cypru. Dla pewności, że kupujemy nasze, trzeba wybrać się na osiedlowy bazarek albo targowisko gdzieś pod miastem.

Ziemniak ziemniakowi nierówny. A do tego jedni wolą te bardziej białe - to na Wschodzie, na Zachodzie - żółciutkie. I jeszcze inne do gotowania, inne na kluchy i placki, do pieczenia, sałatki... To ci klops!

A teraz zamknijcie oczy. Już? OK, zobaczcie talerz: ziemniaki z koperkiem, mizeria i mielony w złocistej panierce... Albo bez tego klopsa, ale za to z kubkiem maślanki... A pyra z gzikiem po poznańsku albo podlaska babka ziemniaczana... I placki, placki z kwaśną śmietaną (Kraków) albo cukrem (Bydgoszcz). Jeszcze szare kluchy ze skwarkami... Pyzy, cepeliny i kopytka.

Mam nadzieję, że czytacie to po obiedzie, bo za cieknącą ślinkę nie biorę odpowiedzialności.

Ale grule mają jedną wadę - trzeba je obrać (no dobra, młode w mundurkach to jest sztos), a to najnudniejsze - obok ścierania kurzu - zajęcie świata. Może więc nie obierać, wyjść gdzieś na pole, gdzie dopiero co kopane były bulwy i jeszcze leżą łęty, rozpalić ognisko (ale tak, żeby tylko żar był) i piec kartofle w gorącym popiele?

Dym się snuje nad kartofliskiem, siąpi deszczyk. Stop! Przecież ognisk nie wolno na polu palić. A dym śmierdzi i może być toksyczny. Cholera, a już było tak pięknie i miało być smacznie, jak w dzieciństwie, kiedy ziemniaki były po prostu ziemniakami, a na wykopki jechało się z całą szkołą właśnie po to, żeby rozpalić ogniska.

Zamówię frytki do obiadu. W końcu są z ziemniaków. Bo są, prawda?©℗

KRONIKA BYDGOSKA

Idź na Dworcową, rusz w inne zakamarki miasta. Niezmiennie warto!

Ewa Czarnowska-Woźniak

Czy ulice w centrum Bydgoszczy mają szansę na powrót zainteresowania mieszkańców? Społecznicy próbują odwrócić niekorzystne trendy.

Pamiętam swój pierwszy wyjazd na Kretę, ponad ćwierć wieku temu, gdy możliwości finansowe pozwoliły tylko na dojazd i pobyt, bez wydawania pieniędzy na tzw. atrakcje. Bardzo nachalnie sprzedawane wycieczki pozostawały poza moim budżetem. Traf jednak chciał, że te „wielkie greckie wakacje" przypadały na koniec września, a ściślej Światowy Dzień Turystyki. Okazało się, że miasteczko, w którym byłam, eksplodowało festynami i pokazami, przygotowanymi przez lokalsów. To były prawdziwe występy i autentyczne swojskie jedzenie rozdawane tubylcom i turystom w nieograniczonej różnorodności. Tak się więc złożyło, że przypadkowo i darmowo doświadczyłam wszystkiego, co w Grecji najfajniejsze w oryginalnej wersji, a nie plastikowej wydmuszce „zorby" dla przyjezdnych.

Od tamtego czasu wielką estymą darzę tych wszystkich, którzy – najczęściej społecznie – próbują zaprezentować innym to, co w ich małym świecie ciekawego. Dlatego bardzo kibicuję naszpikowanemu ciekawymi pomysłami wydarzeniu w najbliższą sobotę - „Chodź na Dworcową", na które zapraszają Rada Osiedla Bocianowo - Śródmieście - Stare Miasto oraz Bydgoski Ruch Miejski. Idea jest bardzo prosta, a jednocześnie bardzo mi bliska. Pokazać, że Dworcowa żyje, jak kiedyś, gdy organizował się wokół niej handlowo-komunikacyjny rytm Bydgoszczy. Spróbować tchnąć w nią więcej życia, tak jak od lat, ze zmiennym szczęściem, próbuje się to zrobić na Długiej. A przecież Bydgoszczanie z mojej półki mają swoje „Dworcowe" sentymenty. Są jeszcze ci, którzy pamiętają tramwaj jeżdżący wzdłuż całej ulicy. Albo fryzjera na dwóch poziomach w miejscu dzisiejszego centrum senioralnego. Sama czule zaś wspominam czerwono-granatową sukienkę na studniówkę kupioną w jednym z tamtejszych butików... Zakupy modowe mogły się wtedy udać tylko tam.

FOT. ARCHIWUM PPG/A.WOJTASIEWICZ

Ilu z nas ciągle darzy ulicę Dworcową sentymentem?

Dziś coraz częściej Bydgoszczanki znów polecają sobie wizyty na tej ulicy, by dokonać ciekawszych niż w sieciowych seriach zakupów. Coraz więcej tu odrestaurowanych budynków i nowoczesnych w formie oraz treści architektonicznych plomb. To jednak wycinek powolnych zmian, jakie tu zachodzą, to ciągle za mało. Stąd w najbliższy weekend społeczny miejski eksperyment. Na kilka godzin Dworcowa stanie się deptakiem kipiącym muzyką, aktywnościami ruchowymi, modą i kulinariami.

(Przy)chodź i potem na Dworcową? Nie wiem, na ile wystarczy tego entuzjazmu. Trudno być do końca naiwnym i nie brać pod uwagę powszechnych trendów, również socjologicznych. Ale może, powoli, piechotą i niespiesznie, zwrócimy się jednak ku temu, co prawdziwsze dla naszego miejskiego kodu?

I my, tu w Bydgoszczy, już po raz trzeci będziemy mogli wkrótce, w sobotę poprzedzającą Światowy Dzień Turystyki (26 września) wziąć udział w Społecznych Obchodach Dnia Turystyki. Całkowicie za darmo możemy wybrać się wtedy na całodniowe zwiedzanie naszego miasta z przewodnikami. Projekt współfinansowany przez Miasto Bydgoszcz zakłada pięć spacerów tematycznych. - Każdy to inna historia, inna trasa i inny sposób spojrzenia na Bydgoszcz – zachęcają organizatorzy. Masz ochotę poznać historię Górnego Tarasu, Kanału Bydgoskiego czy dowiedzieć się, dlaczego Fordon nazywany jest „miastem trzech kultur"? Idź z przewodnikami. Oni wiedzą, co w Bydgoszczy najautentyczniejszego.
©℗

W SOBOTĘ Z „EXPRESSEM"

Olgierd i Jerzy Łukaszewiczowie. Bracia bliźniacy pracujący po dwóch stronach kamery, bez których polskie kino nie miałoby m.in. „Soli ziemi czarnej".

FOT. ANDRZEJ BANAŚ

- **Rak prostaty przez długi czas może nie dawać żadnych objawów.**
- **Spódnice idealne dla kobiet po pięćdziesiątce.**
- **Dorosły zmaga się z ADHD. Z tego się nie wyrasta.**

eprasa.pl d72073f4ec

BEZPIECZEŃSTWO

Policja jest bezradna w sprawie zdjętych blokad

Adam Willma

14-latkę spod Żnina trzeba było zabrać do szpitala śmigłowcem LPR. W Grudziądzu nastolatka została ranna po zderzeniu hulajnogi z autem. W regionie rośnie liczba wypadków i kolizji z udziałem e-hulajnóg. Policja coraz częściej sprawdza też sam sprzęt. Powód? Część urządzeń po zdjęciu blokady zamiast 20 km na godzinę jedzie dwa razy szybciej.

Prawo przewiduje, że hulajnoga elektryczna ma być konstrukcyjnie ograniczona do 20 km/h. Jej masa własna nie może przekraczać 30 kg.

Moc silnika nie jest ograniczona, co w praktyce oznacza, że legalna może być zarówno hulajnoga 500 W, jak i 1000 czy 2000 W. Problem zaczyna się wtedy, gdy urządzenie zostało zaprojektowane tak, że ograniczenie prędkości moż-na łatwo obejść.

Sprawcami głównie dzieci i młodzież

W naszym regionie tylko do połowy roku odnotowano 30 wypadków z udziałem użytkowników hulajnóg elektrycznych. Jedna osoba zginęła, 27 zostało rannych. Do tego doszło około 160 kolizji.

Jeszcze wyraźniej trend widać w danych ogólnopolskich. W 2025 doszło do 1158 wypadków z udziałem hulajnóg elektrycznych. Zginęło w nich 11 osób, 1055 zostało rannych. Rok wcześniej takich wypadków było 752. Wzrost wyniósł 54 proc.

W większości przypadków sprawcami byli sami kierujący hulajnogami. Spowodowali 696 wypadków. Najczęstszą przyczyną było niedostosowanie prędkości do warunków ruchu.

Dużą grupę sprawców stanowią dzieci i młodzież. Osoby w wieku od 7 do 14 lat spowodowały 243 wypadki. Młodzież w wieku 15-17 lat kolejnych 149. Łącznie osoby do 17. roku życia odpowiadały za ponad 56 proc. wypadków spowodowanych przez kierujących hulajnogami.

Jazda 20 km/h tylko na papierze

Na grupach użytkowników hulajnóg sposoby zdejmowania blokad są jednym z częściej poruszanych tema-

FOT. ARCHIWUM

Hulajnogiści nagminnie łamią przepisy

tów. W jednych modelach wystarcza zmiana ustawień w sterowniku, w innych odpowiednia opcja w aplikacji. Są też konstrukcje, w których użytkownicy ingerują w instalację elektryczną. W niektórych przypadkach zdjęcie ograniczenia sprowadza się do przecięcia przewodu.

Podinspektor Przemysław Słomski z biura prasowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy przyznaje, że regionalna policja nie posiada obecnie narzędzi, które pozwoliłyby potwierdzać zdjęcie blokady w hulajnogach: - Użytkownik hulajnogi musi jednak liczyć się z tym, że przekroczenie limitu może zostać ujawnione podczas pomiaru prędkości.

Państwo chce utrudnić zdejmowanie blokad

W nowym projekcie Ministerstwo Infrastruktury przewiduje, że konstrukcja nowych hulajnóg i urządzeń transportu osobistego ma uniemożliwiać zwiększenie prędkości maksymalnej powyżej 20 km/h. Wymóg ma dotyczyć pojazdów wyprodukowanych od 1 kwietnia 2027. Konstrukcja pojazdu ma uniemożliwiać jego obejście przez zmianę oprogramowania, ingerencję w instalację elektryczną czy zdalną zmianę parametrów urządzenia.

Jednocześnie rząd nie planuje ograniczenia mocy silników. Hulajnoga z silnikiem 1000 czy 2000 W nadal będzie mogła spełniać wymagania. Warunkiem pozostanie takie skonstruowanie pojazdu, by nie rozwijał więcej niż 20 km/h. Obecne rozwiązanie pozwala sprzedawać mocny sprzęt pod warunkiem zastosowania ogranicznika, który w części modeli można później stosunkowo łatwo usunąć.

Od 3 marca podniesiono już minimalny wiek użytkownika hulajnogi z 10 do 13 lat. Osoby w wieku 13-18 lat muszą mieć kartę rowerową albo odpowiednie prawo jaz-dy.

Od 3 czerwca osoby poniżej 16 lat muszą podczas jazdy używać kasku.

Kolejny etap ma dotyczyć samego sprzętu. Jeśli przepisy wejdą w życie w planowanym kształcie, od kwietnia 2027 producent nie będzie już mógł poprzestać na blokadzie, którą można później wyłączyć w ustawieniach. ©℗

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN
0011584102

ORLEN rozwija współpracę z przewoźnikami. Potrzebuje silnego łańcucha dostaw

Nawet miliard złotych rocznie ORLEN wydaje na transport drogowy swoich produktów. Koncern, który obsługuje 13 tys. miejsc dostaw w 30 krajach, rozwija współpracę z przewoźnikami i zachęca kolejne polskie firmy do wejścia do swojego łańcucha dostaw.

O skali tych potrzeb rozmawiano podczas Forum Dostawców dla branży logistyki i transportu, które odbyło się w Żninie w ramach programu „Partnerzy Energii Jutra". W wydarzeniu uczestniczyli przedstawiciele 350 firm transportowych, logistycznych i spedycyjnych z całej Polski. Około połowa z nich nie miała dotąd bezpośrednich relacji biznesowych z ORLENEM.

14 milionów ton produktów i miliard złotych na transport

Podczas spotkania przedsiębiorcy poznali m.in. kryteria oceny dostawców, wymagania operacyjne oraz rozwiązania flotowe wykorzystywane przez koncern, które mają wspierać optymalizację kosztów.

O skali działalności Grupy ORLEN mówiła Diana Batko, wiceprezes Zarządu ds. logistyki i zakupów:

– Żeby pokazać skalę działalności ORLENU, warto skupić się na czterech liczbach: 1 miliard złotych rocznie wydatków na transport drogowy, 14 milionów ton przewiezionych produktów, 13 tysięcy miejsc dostaw w 30 państwach i 14 spółek w 7 krajach. To skala, która stawia ORLEN wśród największych zleceniodawców transportu drogowego w Polsce – wskazywała.

Wiceprezes podkreśliła, że za sprawnym funkcjonowaniem łańcucha dostaw stoją przede wszystkim kierowcy i dyspozytorzy. Zaznaczyła również, że własna flota koncernu nie jest w stanie obsłużyć wszystkich przewozów.

– Zewnętrzni przewoźnicy są trwałym elementem naszego łańcucha dostaw. Potrzebujemy silnego ekosystemu partnerów, którzy będą rozwijali się razem z nami.

380 miliardów złotych inwestycji i szansa dla polskich firm

Rozwój współpracy z sektorem transportowym jest związany z planami inwestycyjnymi Grupy ORLEN. Do 2035 roku koncern zamierza przeznaczyć na rozwój blisko 380 mld zł, co oznacza również rosnące zapotrzebowanie na usługi logistyczne i transportowe.

Jednym z filarów programu „Partnerzy Energii Jutra" jest local content, czyli zwiększanie udziału polskich przedsiębiorstw w realizacji inwestycji i zadań Grupy ORLEN. Dla krajowych firm oznacza to możliwość nawiązywania długoterminowej współpracy i rozwijania działalności.

Szeroki zakres potrzeb zakupowych koncernu przedstawił Roman Kowszewicz, dyrektor wykonawczy ds. zakupów:

– Z perspektywy zakupów Grupy ORLEN nabywamy szeroki zakres produktów i usług – od wyposażenia stacji, przez rzepak, biokomponenty i elementy farm wiatrowych, po usługi transportowe. Wszystko to wymaga sprawnej logistyki, z zachowaniem terminowości, jakości i bezpieczeństwa. Zależy nam, aby jak największy udział w tych przedsięwzięciach miały polskie firmy. Chcemy rozwijać tę współpracę i budować wspólną, zintegrowaną logistykę.

Przewoźnicy: ORLEN jako partner rozwoju

Dla firm transportowych współpraca z dużym, stabilnym odbiorcą usług może być impulsem do rozbudowy działalności. Piotr Groeger, prezes Zarządu Grupy Solidaris, wspominał o znaczeniu rozpoczęcia współpracy z koncernem:

– Gdy zaczynaliśmy, mieliśmy już co prawda paru znaczących klientów w naszym portfolio, ale ORLEN stał się swoistą perłą w koronie i idealnie wpisywał się w plan naszego działania. To było dla nas jak wiatr w żagle – mówił.

ORLEN podkreśla, że w relacjach z przewoźnikami liczy się przede wszystkim długofalowa współpraca, przewidywalność i wspólny rozwój.

– Stawiamy na współpracę z takimi partnerami, którzy nie chcą być przewoźnikiem jednego zlecenia, ale chcą z nami budować bezpieczne, efektywne, nowoczesne łańcuchy dostaw – powiedziała Agnieszka Trębicka, Dyrektor dyrektor Biura Zakupów Bezpośrednich w Grupie ORLEN.

– Te relacje powinny być oparte na odpowiedniej komunikacji, transparentności, poszukiwaniu optymalnych rozwiązań. To właśnie są „partnerzy energii jutra" – dodał Jarosław Mazgaj, Kierownik kierownik Działu Zakupów Logistycznych w ORLENIE, rozwijając także skrót nazwy koncernu jako: Odpowiedzialność, Rozwój, Ludzie, Energia oraz Niezawodność.

eprasa.pl d72073f4ec

Bydgoszcz

UROCZYSTOŚĆ

Obchody z okazji 87. rocznicy agresji ZSRR na Polskę oraz Dnia Sybiraka

Paweł Kaniak

W czwartek, 17 września bydgoski oddział Związku Sybiraków oraz prezydent Bydgoszczy Rafał Bruski zaprosili mieszkanki i mieszkańców do udziału w miejskich obchodach 87. rocznicy agresji ZSRR na Polskę oraz Dnia Sybiraka.

Jak informuje rzeczniczka prezydenta Bydgoszczy Marta Stachowiak, wspólne uroczystości są wyrazem hołdu dla wszystkich ofiar sowieckiej okupacji oraz setek tysięcy Polaków zesłanych na Syberię.

Obchody rozpoczęły się mszą świętą w Katedrze Bydgoskiej. Po zakończeniu nabożeństwa uczestnicy przeszli na Stary Rynek, gdzie odbyła się uroczystość patriotyczna z ceremoniałem wojskowym. Rozpoczęło ją wspólne odśpiewanie hymnu państwowego przy akompaniamencie orkiestry wojskowej, po czym nastąpiły okolicznościowe wystąpienia zaproszonych gości. W programie był też Marsz Sybiraków w wykonaniu zespołu „Ogrodnik Team" z CKR Technikum Rolnicze im. Sybiraków. Zwieńczeniem spotkania na płycie rynku był uroczysty Apel Pamięci oraz złożenie wieńców i wiązanek kwiatów pod Pomnikiem Walki i Męczeństwa Ziemi Bydgoskiej.

17 września 1939 r. armia radziecka wkroczyła na tereny Rzeczypospolitej Polskiej, w ten sposób łamiąc polsko-radziecki pakt o nieagresji, jednocześnie realizując porozumienie z hitlerowskimi Niemcami (pakt Ribbentrop - Mołotow). Z terenów wschodnich Rosjanie w ramach represji wywieźli na Syberię około milion obywateli RP. Pierwsza z masowych deportacji Polaków na Syberię przeprowadzona została przez władze sowieckie na początku lutego 1940 roku.

W zimową noc wywieziono blisko 140 tysięcy osób. Były to głównie rodziny urzędników państwowych, m.in. sędziów, prokuratorów, policjantów, leśników, a także wojskowych, w tym uczestników wojny polsko-bolszewickiej, i właścicieli ziemskich. Trafiły do północnych regionów ZSRR, w okolice Archangielska i Irkucka oraz do Kraju Krasnojarskiego i Komi. Historycy szacują, że na Syberię wywieziono w sumie od trzystu tysięcy do ponad miliona Polaków.

Wielu deportowanych nie przetrwało podróży, wielu nigdy nie wróciło z zesłania. Reprezentowaniem interesów oraz upamiętnianiem losów polskich zesłańców na Syberię zajmuje się Związek Sybiraków. W naszym regionie jego oddziały działają w Bydgoszczy, Toruniu i Włocławku. ©℗

FOT. SZPITAL JURASZA W BYDGOSZCZY

17 września, na Starym Rynku odbyła się uroczystość patriotyczna z ceremoniałem wojskowym

INWESTYCJE

Aż trudno uwierzyć. To już koniec remontu Pl. Wolności!

Jarosław Więcławski

Drogowcy zapowiedzieli, że w piątek (18 września) przywrócą ruch na przebudowanej jezdni wzdłuż kamienic na Placu Wolności w Bydgoszczy. Będzie tu obowiązywała strefa ograniczonej prędkości 30 km/h. Na jezdni wprowadzono kontraruch rowerowy.

FOT. ZDMIKP

Ruch przy Placu Wolności przywrócony zostanie w piątek, 18 września

Rewitalizacja Placu Wolności ruszyła w kwietniu 2024 r. Na starcie był poślizg, bo wcześniej przedłużyły się roboty związane z budową zbiornika retencyjnego. Pierwotnie zakładano, że wszystkie prace zakończą się latem 2025 r. (kwiaciarki miały wrócić wcześniej), ale termin już wielokrotnie, z różnych powodów, przesuwano. Od listopada 2025 r. trwała przebudowa skrzyżowania Plac Wolności – Gimnazjalna, co wiązało się z wprowadzeniem ograniczeń w ruchu.

Jak informowaliśmy na początku miesiąca, ostatniego z terminów (koniec sierpnia), nie udało się dotrzymać. Jak wyjaśniała nam rzeczniczka prezydenta Bydgoszczy, opóźnienie wynikało z ujawnienia pod dotychczasową nawierzchnią chodnika (przy kamienicach o numerach 1 i 3) historycznych studni do piwnic kamienic, które uniemożliwiły wykonanie korytowania oraz ułożenia nawierzchni zgodnie z zatwierdzoną dokumentacją.

– Ponadto stan faktyczny wyklucza uzyskanie normatywnego spadku poprzecznego chodnika o wartości maksymalnej 3 procent, ponieważ przez ściany studni przy istniejących rzędnych spadek ten wynosi aż 10 procent. Żeby skrócić czas realizacji robót dodatkowych oraz uniknąć procedur związanych z pozyskiwaniem decyzji administracyjnych, uzgodnień konserwatorskich i archeologicznych, podjęto decyzję o wykonaniu chodnika dwupoziomowego poprzez zastosowanie tak zwanej rampy schodkowej, czyli wprowadzenie stopnia wzdłuż biegu chodnika przy jednoczesnym zachowaniu maksymalnego dopuszczalnego spadku poprzecznego – wyjaśniła nam Marta Stachowiak, rzeczniczka prasowa prezydenta Bydgoszczy.

To już jest (prawie) koniec

Przesunięcie miało wynieść około miesiąca, ale kierowcy wcześniej będą mogli przejechać nową jezdnią z kamienną kostką. Ruch przy Placu Wolności przywrócony zostanie w piątek. Skrzyżowanie z Gimnazjalną ma wyniesioną formę.

– W ramach inwestycji dokonano zwężenia jezdni na rzecz poszerzenia ciągu pieszego, z przeznaczeniem m.in. na letnie ogródki lokali gastronomicznych. Wprowadzony zostanie obustronny zakaz zatrzymywania się, samochody od strony ul. Gimnazjalnej i ul. Piotra Skargi przy wjeździe na wyniesione skrzyżowanie wjadą w strefę ograniczonej prędkości 30 km/h obowiązującą na ul. Plac Wolności, wprowadzony zostanie też kontraruch rowerowy – informuje Zarząd Dróg Miejskich i Komunikacji Publicznej w Bydgoszczy.

W najbliższych dniach wykonawca, firma Strabag, ma prowadzić prace porządkowe i rozpoczną się końcowe odbiory całej inwestycji.

Co tu się zmieniło?

Głównym celem rewitalizacji było podniesienie estetyki, wprowadzenie dodatkowej zieleni, przywrócenie historycznych osi widokowych i wymiana nawierzchni. Na części dla pieszych została ujednolicona, nawiązując do historycznych, naturalnych materiałów kamiennych (granit i kostka bazaltowa).

Za realizację inwestycji o wartości blisko 10 mln zł odpowiada firma Strabag. Dodatkowo koszt budowy kwiaciarni to 1,3 mln zł. Na placu pojawiło się m.in. 13 stylowych latarni, 26 ławek i 4 komplety stojaków rowerowych. W ramach robót przewidziano także m.in.: dosadzenie 21 drzew, w tym jarzęby szwedzkie i lipy (nie obyło się bez wycinek – 8 sztuk i przesadzeń – 6 sztuk), więcej zieleni m.in. na dawnym postoju taksówek oraz dodatkową iluminację frontowej elewacji kościoła i I LO.

Od wtorku, 8 września, na Placu Wolności działa pierwsza kwiaciarnia. Rozbiórka starych budek odbyła się w maju 2023 r. Właściciele na powrót czekali ponad 3 lata. Wkrótce na miejscu ma być otwartych pięć pawilonów. ©℗

KRÓTKO

Akcja społeczna

Ekstra paka dla bezdomnego zwierzaka

Mieszkańcy z Bydgoszczy mogą pomóc psom i kotom ze Schroniska dla Bezdomnych Zwierząt przy ul. Grunwaldzkiej.

We wrześniu trwa szósta edycja akcji „Ekstra paka dla bezdomnego zwierzaka" realizowana przez E.Leclerc Polska. Włączył się w nią również sklep przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie 26. Akcja rozpoczęła się 18 września. Potrwa do soboty - 19 września. Klienci podczas codziennych zakupów mogą przekazać karmę potrzebującym zwierzętom. W pobliżu linii kas w sklepie pojawiły się specjalnie oznaczone kosze, do których mieszkańcy mogą wkładać zakupioną karmę. Będzie przekazana do bydgoskiego schroniska. **JW**

eprasa.pl d72073f4ec

KONTROWERSJE

Szokujące sceny w bloku w bydgoskim Fordonie. „Terroryzują całą klatkę schodową”

Maciej Czerniak

Nieustające burdy, krzyki, goście śpiący na schodach, agresywni bywalcy lokalu. To codzienność, z jaką muszą borykać się mieszkańcy bloku przy ulicy Monte Cassino 6 w Bydgoszczy. Do spółdzielni mieszkaniowej trafiła informacja o problemie.

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI/ZDJ. ILUSTRACYJNE

Mieszkańcy bloku na osiedlu w Fordonie mają dość ciągłych awantur

„Zwracam się z prośbą o pilne podjęcie działań i przeprowadzenie kompleksowej kontroli dotyczącej osób zamieszkujących lokal” - to początek listu od mieszkańca bloku przy ulicy Monte Cassino w bydgoskim Fordonie. Z apelu wynika, że w ostatnim czasie na miejsce były wzywane służby, między innymi policja. To w związku z zachowaniem jednego z lokatorów - miało tam dojść do ugodzenia innego człowieka nożem.

„Terroryzują całą klatkę”

- Sytuacja w budynku od dłuższego czasu jest bardzo poważna i powoduje, że mieszkańcy czują się zastraszeni i zagrożeni we własnych domach - mówi autor listu.

„Osoby zamieszkujące wskazany lokal regularnie wszczynają awantury, dochodzi między nimi do przemocy, krzyków, szarpaniny oraz niszczenia wspólnego mienia. Zdarzają się również sytuacje, w których po awanturach osoby te śpią na klatce schodowej lub swoim balkonie” - można przeczytać w korespondencji.

Lokatorzy i osoby przygodne odwiedzające jedno z mieszkań, jak twierdzi jeden z sąsiadów, mają „terroryzować całą klatkę schodową”. W efekcie mieszkańcy boją się swobodnie poruszać po budynku, a w szczególności obawiają się wychodzić z mieszkań i wracać do domu w godzinach wieczornych i nocnych.

Sam lokal znajduje się w bardzo złym stanie: zaniedbany, zaśmiecony. Mieszkańcy wyrażają obawę o zdrowie, zwracają uwagę na możliwe zagrożenie sanitarne, epidemiologiczne i pożarowe.

Spółdzielnia weryfikuje doniesienia

Zająłem się sprawą i zwróciłem do policji o informację, czy istotnie w ostatnim czasie doszło w bloku do niebezpiecznych incydentów. Policja zapewnia, że udzieli informacji.

O sprawie została też poinformowana Fordońska Spółdzielnia Mieszkaniowa, administrator budynku.

- Faktycznie, mieliśmy niedawno zgłoszenie dotyczące bloku przy Monte Cassino - mówi kierownik działu administracji w FSM. - Wyjaśniamy tę sytuację, sprawdzamy, com się tam dzieje.

Jak dodaje, spółdzielnia ma możliwości zareagowania w sytuacji, kiedy w grę wchodzi bezpieczeństwo mieszkańców danego budynku, ale nie ukrywa, że środki te są ograniczone.

- Należy rozróżnić pewne sytuacje. O ile w przypadku, kiedy mieszkanie jest wynajmowane, po przeprowadzeniu interwencji, czyli skontaktowaniu się z lokatorem, rozmowach, zebraniu wywiadu wśród sąsiadów, jest możliwe wypowiedzenie najmu, to inaczej to wygląda, kiedy mamy do czynienia z właścicielem danego lokalu - mówi Walentowicz. - Tu kroki, jakie możemy podjąć, są ograniczone. Oczywiście istnieje możliwość eksmisji zasądzonej przez sąd, ale to długa i skomplikowana procedura.

Dodaje, że zawsze należy sprawdzić, czy nie ma do czynienia z konfliktem między, na przykład dwoma zwaśnionymi sąsiadami. W takim wypadku spółdzielnia może odegrać rolę mediatora, rozjemcy. - Zawsze jednak doradzamy lokatorom, by sytuacje związane z potencjalnym niebezpieczeństwem, jakie dany mieszkaniec może powodować swoim zachowaniem, zgłaszać policji.©℗

AUTOPROMOCJA
0011584113

ENERGIA Z POLSKI
LOCAL FIRST

28 WRZEŚNIA W WARSZAWIE
FORUM POLSKICH DOSTAWCÓW

ZAPISZ SIĘ JUŻ DZIŚ!

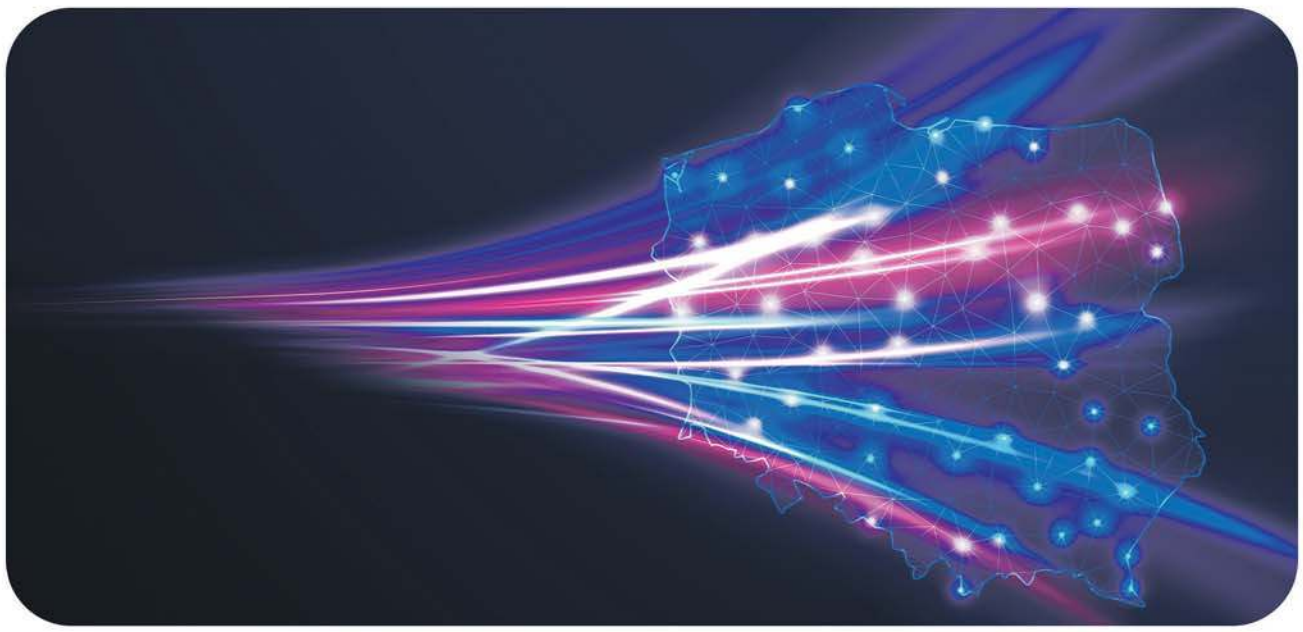

Forum adresowane jest do polskich przedsiębiorstw, które – dzięki specjalistycznym kompetencjom i zdolności szybkiego reagowania – mogą stać się istotnymi partnerami dla Skarbu Państwa, innych dużych inwestorów publicznych i największych polskich firm państwowych.

WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW:
energiazpolski.pl

Organizator POLSKA PRESS GRUPA

Patronat Honorowy
Wiceprezes Rady Ministrów Minister Obrony Narodowej
Władysław Kosiniak-Kamysz
Ministerstwo Aktywów Państwowych
Ministerstwo Energii
Minister Infrastruktury

eprasa.pl d72073f4ec

INWESTYCJE

Rozbudowa Biziela będzie kontynuowana

Jarosław Więcławski

W czwartek, 17 września, podpisano umowę na dokończenie rozbudowy i modernizacji Szpitala Uniwersyteckiego nr 2 im. dr. Jana Biziela w Bydgoszczy. To kontynuacja inwestycji rozpoczętej w 2021 roku – budowy nowego budynku wraz z wyniesionym lądowiskiem dla śmigłowców Lotniczego Pogotowia Ratunkowego.

FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ

Nowa umowa podpisana, Zakończenie inwestycji planowane jest w 2028 roku. To kontynuacja inwestycji rozpoczętej w 2021 r.

Rozbudowa placówki ruszyła wiosną 2021 roku. Miała potrwać do końca 2023 r., ale termin kilka razy wydłużano. W końcu poinformowano, że po mediacjach rozwiązano umowę z wykonawcą, firmą Alstal. Roboty wstrzymano w 2024 r. Nowy budynek jest na etapie stanu surowego zamkniętego – wykonano konstrukcję, pokrycie dachu, elewację oraz ściany działowe.

– W czasie mojej pierwszej kadencji podjęto decyzję o tym, aby wybudować ten obiekt. Ta cała inwestycja toczy się gdzieś 10 lat i cieszę się, że za mojej trzeciej kadencji uda się ją dokończyć – powiedział w czwartek podczas podpisania nowej umowy prof. dr hab. Andrzej Tretyn, rektor UMK.

– Ta inwestycja jest kluczowa dla planu wieloletniego, w zasadzie bez tego budynku ten plan nie istnieje. Budynek stoi, a w ciągu 2 lat, do połowy 2028 r. będzie wyposażony i zacznie funkcjonować jako ogromne zaplecze kliniczne, które jest niezbędne – stwierdził prof. dr hab. Dariusz Grzanka, prorektor ds. Collegium Medicum. Inwestycję za blisko 211 mln złotych dokończy firma Budimex. Finał prac planowany jest w marcu 2028 r. Umowę zawarto w formule projektuj i buduj. Na dotychczasową realizację wydano kwotę ponad 76 mln zł. To nie koniec nakładów związanych z uruchomieniem obiektu. W ramach zadania przewidziano również kompleksowe wyposażenie obiektu za ok. 90 mln zł.

– To jest w zasadzie nie tylko inwestycja stricte budowlana, tylko po prostu misja pomagania ludziom, poprawiania jakości życia i leczenia. Dosyć istotnym elementem będzie dla nas wykonanie lądowiska dla helikopterów. Każda minuta w transporcie pacjenta do placówki szpitalnej jest bardzo istotna. Mam nadzieję, że inwestycja przebiegnie bardzo dobrze, terminowo i spotkamy się tutaj za 1,5 roku, zadowoleni na zakończeniu tej inwestycji – przekazał Mariusz Hurylski, dyrektor oddziału w Budimex SA.

W dziewięciokondygnacyjnym obiekcie (osiem nadziemnych i jedna podziemna) umiejscowione będą Oddział Anestezjologii i Intensywnej Terapii wraz z Blokiem Operacyjnym, Dział Sterylizacji i Dezynfekcji, Klinika Hematologii i Chorób Rozrostowych Układu Krwiotwórczego, Klinika Foniatrii i Audiologii z Oddziałem Otolaryngologii i Onkologii Laryngologicznej z Pododdziałem Chirurgii Szczękowej oraz Oddział Kliniczny Rehabilitacji.

Przewidziano również miejsce na salę audytoryjną i sale dydaktyczne dla studentów Collegium Medicum UMK. Gmach pomieści 144 łóżka szpitalne. W ramach inwestycji konieczne było również powstanie stacji transformatorowej, przebudowa wewnętrznej infrastruktury drogowej, a także wykonanie prac w istniejących budynkach, aby była możliwość ich połączenia z nowym skrzydłem szpitalnym.

– Dla nas to nie jest tylko budynek. Nie mówimy dzisiaj tylko o kilkunastu tysiącach metrów kwadratowych, nie tylko o 200 milionach. Tylko mówimy o tym, że realnie będziemy mieli taką perełeczkę, która zapewni bezpieczeństwo pacjentom, pozwoli szybko i sprawnie zapewnić pomoc, ale też rozwijać wysokospecjalistyczną medycynę – przekazała dr n. med. Agnieszka Rogalska, dyrektor szpitala.

Inwestycja jest częścią „Wieloletniego programu medycznego" o wartości ponad 426 mln zł, którego realizację zaplanowano w latach 2018-2028. Ministerstwo Zdrowia na realizację programu planuje przeznaczyć blisko 397 mln zł. Kolejne ok. 26,6 mln zł pochodzi że środków Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko, a ponad 3 mln zł to środki własne UMK.©℗

ZAPRASZAMY

24 września Forum Seniora w Toruniu. Widzimy się!

Małgorzata Stempinska

500 miejsc już czeka w auli UMK w Toruniu przy ul. Gagarina. Dziś (18 września) jest ostatni dzień na potwierdzenie swojego udziału. Kto tego nie zrobi, straci miejsce.

FOT. ARCHIWUM

XIII Forum Seniora rozpocznie się w czwartek o godz. 9

XIII Forum Seniora „Gazety Pomorskiej", „Expressu Bydgoskiego" oraz „Nowości Dziennika Toruńskiego" rozpocznie się tradycyjnie o godz. 9, zaś do budynku będzie można wejść już od godz. 8. W Forum weźmie udział 500 seniorów z Kujawsko-Pomorskiego. Udział jest bezpłatny.

Lista 500 wolnych miejsc w dwa dni zapełniła się nazwiskami naszych Czytelników. Zaproszenia już wysłaliśmy pocztą. Dziś jest ostatni dzień, by potwierdzić swój udział w wydarzeniu. Szczegóły, jak to zrobić, znajdują się na zaproszeniu. Seniorzy, którzy do dziś nie potwierdzą udziału w Forum, stracą miejsca. Wejdą na nie osoby z listy rezerwowej, z którymi skontaktujemy się telefonicznie i ich poinformujemy o zaproszeniu i możliwości przyjścia. Jeśli się z Państwem nie skontaktujemy, to oznaczać to będzie, że niestety nie możemy Państwa zaprosić na tą edycję.

Tradycyjnie zadbaliśmy o to, by podczas Forum Seniora tematy wykładów były różnorodne oraz interesujące. Zaprosiliśmy prelegentów, którzy dzieląc się swoją wiedzą i doświadczeniem mogą poprawić kom-fort życia starszych Czytelników w wielu jego dziedzinach życia oraz udzielić cennych porad.

O czym powiedzą nasi goście?

Asp. szt. Mariusz Insadowski, specjalista WRD KMP w Toruniu, opowie o bezpieczeństwie w ruchu drogowym.

„Tabletka czy talerz? Prawda o suplementach diety po 60-tce" - to tytuł prelekcji, z jaką wystąpią dwie farmaceutki z fundacji Pharmahelp: prezes mgr farm. Maryla Skowrońska-Lisiewicz oraz wiceprezes mgr farm. Dorota Strumiłło-Górecka.

O tym, jak spędzaliśmy wolny czas bez telewizorów czy telefonów, opowie Magdalena Świeżawska-Motylewska, która prowadzi pracownię rękodzieła i śpiewu naturalnego „Ta Tradycja".

Z kolei Agata Adamczyk, podolożka i właścicielka „Centrum Podologicznego Dermativa" w Bydgoszczy, przygotowała prelekcję zatytułowaną „Zdrowe stopy na co dzień". Uczestnicy Forum Seniora dowiedzą się, jak prawidłowo pielęgnować i obserwować stopy oraz dobierać bezpieczne obuwie.

Tradycyjnie podczas Forum Seniora będą stoiska naszych partnerów, na których będą mogli uzyskać informacje o ich działaniach senioralnych. Będzie też możliwość przebadania poziomu cukru czy ciśnienia. Zaplano-waliśmy też dwie przerwy kawowe. Na zakończenie Forum wszystkich jego uczestników zaprosimy na obiad.

Gościem specjalnym będzie Grażyna Zielińska, aktorka teatralna i filmowa. Szczegółowy program Forum publikujemy na www.expressbydgoski.pl/forum-seniora©℗

REKLAMA
0111573873
ORGANIZATOR
EXPRESS BYDGOSKI
GAZETA POMORSKA
NOWOŚCI
PARTNER STRATEGICZNY
2026 ROK LUDZI FILMU Z KUJAW I POMORZA
Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego
KUJAWY POMORZE
Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu
Dofinansowano z budżetu Samorządu Województwa Kujawsko-Pomorskiego
2026 ROKIEM NSZZ SOLIDARNOŚĆ RI I BYDGOSKIEGO MARCA 1981
PARTNERZY GŁÓWNI
MIASTO TORUŃ
Bank Pekao
PZU ZDROWIE
PATRONAT HONOROWY
WOJEWODA KUJAWSKO-POMORSKI MICHAŁ SZYBEL
Marszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego Piotr Całbecki
Prezydent Miasta Torunia Paweł Gulewski
PARTNERZY
KUJAWSKO-POMORSKI URZĄD WOJEWÓDZKI W BYDGOSZCZY
seni
Aspargin®
Gemini Polska
PALLMED Otaczamy opieką
Gminny Ośrodek Zdrowia w Wielkiej Nieszawce
EKOPRAL
Powiat Toruński
SOLANKOWE TARASY
NFZ
NEUROMED
PATRONAT MEDIALNY
PIK POLSKIE RADIO
TVP3 BYDGOSZCZ
TVP info

eprasa.pl d72073f4ec

OŚWIATA

Bydgoskie Kulturalne Marki Oświatowe przyznane

Małgorzata Pieczyńska

Kolejne projekty i grupy artystyczne, które rozsławiają nasze miasto, otrzymały zaszczytny tytuł Bydgoskiej Kulturalnej Marki Oświatowej. Przyznawany jest na trzy lata.

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

Wręczenie dyplomów i statuetek związanych z przyznaniem tytułu Bydgoskiej Kulturalnej Marki Oświatowej odbyło się w w ratuszu

Uroczystość wręczenia dyplomów i statuetek związanych z przyznaniem tytułu Bydgoskiej Kulturalnej Marki Oświatowej odbyła się w czwartek (17 września) w ratuszu. Uhonorowani odebrali je z rąk Iwony Waszkiewicz, zastępczyni prezydenta Bydgoszczy.

Warto wiedzieć, że Bydgoska Kulturalna Marka Oświatowa to szczególna forma wyróżnienia, wsparcia i promocji dla najlepszych projektów i inicjatyw aktywizujących dzieci i młodzież do uczestnictwa w kulturze. Przedsięwzięcia te gwarantują określony poziom i jakość realizacji.

Ten zaszczytny tytuł otrzymują też zespoły i grupy artystyczne promujące swym dorobkiem artystycznym Miasto i środowisko oświatowe. Tym razem łącznie przyznano 9 takich wyróżnień na okres od 1 września 2026 r. do 31 sierpnia 2029 roku.

Projekty kulturalne, które rozsławiają Bydgoszcz

W ten wyjątkowy sposób uhonorowano cztery przedsięwzięcia kulturalne o zasięgu ponadregionalnym, realizowane przez placówki oświatowe prowadzone przez Miasto Bydgoszcz. Oto one:

- Ogólnopolski Konkurs Filmów Amatorskich „KLAPS" - VI LO (p. Maria Radzińska-Siedlaczek),
- Ogólnopolski Konkurs Chórów a Capella Dzieci i Młodzieży - Pałac Młodzieży (p. Dorota Tomaszewska),
- AFF-Era Filmowa - Pałac Młodzieży (p. Dominik Wierski),
- Ogólnopolskie Spotkania z Muzyką Filmową i Musicalową SZLAGIER - Młodzieżowy Dom Kultury nr 5 (p. Hanna Grześkowiak, p. Natalia Smogulecka, p. Agnieszka Więckiewicz-Hullicaya, p. Szymon Kaźmierczak, p. Marta Kościuszko).

- AFF-Era Filmowa po raz piąty otrzymała ten zaszczytny tytuł. Cieszymy się bardzo - mówi dr Dominik Wierski, autor programu i koordynator AFF-Ery oraz rzecznik Pałacu Młodzieży. - Nasze spotkania młodzieży kochającej kino przyciągają co roku wielu uczestników z całej Polski. W ostatniej 38. edycji w 2025 r. ta liczba była rekordowa. Do Bydgoszczy przyjechało aż 230 uczniów i nauczycieli.

Jednocześnie rzecznik Pałacu Młodzieży podkreśla, że piękną wizytówką Bydgoszczy jest uhonorowany tytułem BKMO - Ogólnopolski Konkurs Chórów a Capella Dzieci i Młodzieży.

- To jeden z najstarszych festiwali chóralnych w Polsce, który od 1988 roku odbywa się w Bydgoszczy - mówi dr Dominik Wierski. - Przed nami 44. edycja, która odbędzie się 9-11 października. Zakwalifikowało się do niej 19 chórów z całej Polski. Cieszymy się też z tytułu BKMO dla Jazz Big Band '75, który działa w Pałacu Młodzieży. Od lat koncertuje on nie tylko w Bydgoszczy, ale również odnosi sukcesy na ogólnopolskich festiwalach. Na koncie ma też laury międzynarodowe.

Tytuł BKMO dla pięciu zespołów i grup artystycznych

W czwartek dyplomy i statuetki tytułu Bydgoskiej Kulturalnej Marki Oświatowej otrzymały także zespoły i grupy artystyczne realizujące amatorską działalność kształtującą i rozwijającą zdolności oraz umiejętności artystyczne dzieci i młodzieży w placówkach oświatowych prowadzonych przez Miasto Bydgoszcz. W tym gronie znaleźli się:

- Chór „PRIMO" - I Liceum Ogólnokształcące z Oddziałami Dwujęzycznymi (prof. Monika Wilkiewicz),
- Młodzieżowa Orkiestra Dęta Zespołu Szkół Elektronicznych - Zespół Szkół Elektronicznych (p. Krzysztof Beszczyński, p. Piotr Stachura),
- Jazz Big Band '75 - Pałac Młodzieży (p. Piotr Dąbrowski),
- Zespół Pieśni i Tańca „Płomienie", Młodzieżowy Dom Kultury nr 4 (p. Izabela Grochowska),
- Formacja Tańca Nowoczesnego T.1 Dance - Company - Młodzieżowy Dom Kultury nr 1 (p. Renata Prugar).©℗

AKCJA SPECJALNA HIPOKRATES
0011583500

Pomaganie to dawanie cząstki siebie

Zapraszamy na rozmowę z Barbarą Żołną, farmaceutką, edukatorką i działaczką społeczną, nagrodzoną we współorganizowanym przez markę Apteo konkursie „Recepta na dobro".

Dlaczego właśnie farmacja?
Już jako mała dziewczynka uwielbiałam czytać i kolekcjonować ulotki leków. Nie sądziłam jednak, że uda mi się rozwijać w tym kierunku. Pochodzę z małej wsi, moi rodzice prowadzili gospodarstwo, więc na pewno nie było im łatwo, ale zadbali o to, żebyśmy otrzymali wykształcenie na najwyższym poziomie. Dzięki nim moje marzenie stało się rzeczywistością. A ja nigdy nie żałowałam wybranej drogi. Zawód farmaceuty daje mnóstwo możliwości, nie tylko pracy w aptece. W moim przypadku to prowadzenie szkoleń, tworzenie branżowych materiałów edukacyjnych czy wydawanie biuletynu Śląskiej Izby Aptekarskiej.

Dodatkowo w czasie wolnym organizuje Pani zajęcia dla dzieci i seniorów. Która grupa wiekowa jest bardziej wymagająca?
Dzieci na pewno potrafią zaskoczyć. Kiedyś na zajęciach w przedszkolu zaprezentowałam się w fartuchu i zapytałam: „Jak myślicie, gdzie pracuję?". Dzieci bez wahania odpowiedziały: „W piekarni". Kiedy wyjaśniłam, że jestem farmaceutką, okazały ogromne zainteresowanie. Razem przygotowywaliśmy różne medyczne receptury, maści z witaminami i kapsułki z pudrowych cukierków.

A skąd pomysł na działania z seniorami?
W pobliskim domu seniora często odbywają się spotkania z historykami, dietetykami czy fizjoterapeutami. Pomyślałam, że jako farmaceutka też mam coś wartościowego do zaoferowania, wyszłam więc z inicjatywą serii zajęć edukacyjnych. Zainteresowanie przerosło moje oczekiwania. Seniorzy są bardzo zaangażowani, staram się ich odwiedzać przynajmniej raz w miesiącu. Podczas zajęć rozmawiamy np. o nadciśnieniu, cukrzycy, bezsenności oraz właściwym nawodnieniu. Opowiadam też o usługach dostępnych w aptekach, np. o przeglądach lekowych.

Na czym polegają takie przeglądy?
Razem z pacjentami sprawdzamy substancje czynne poszczególnych leków, wykluczamy interakcje i spisujemy ewentualne uwagi dla lekarzy prowadzących. Ku mojemu zaskoczeniu jeden z tych lekarzy zadzwonił, żeby osobiście pogratulować mi wykonanej pracy. To pokazało ogrom możliwości, jakie daje współpraca, łączenie działań różnych specjalistów, przede wszystkim zaś stawianie pacjenta w centrum. Mam nadzieję, że coraz częściej będziemy dostrzegać w innych pracownikach ochrony zdrowia równorzędnych partnerów, a nie wrogów.

Właśnie za taką postawę została Pani dostrzeżona w konkursie „Recepta na dobro". Jakie emocje towarzyszyły wyróżnieniu?
Ogromne! Poczułam, że jestem na dobrej drodze i dostałam mnóstwo motywacji do dalszego działania. Łączenie charytatywnych aktywności z pracą zawodową oraz życiem osobistym bywa trudne, nie zamierzam się jednak poddawać. Zwłaszcza teraz, kiedy kompetencje farmaceutów się zwiększają - warto z tego korzystać, wychodzić z inicjatywą, dzielić doświadczeniem. Konkurs pokazuje, że już teraz wielu farmaceutów wspiera pacjentów w nieszablonowy sposób!

A jak rozumie Pani hasło przewodnie konkursu? Czym jest recepta na dobro?
Recepta kojarzy się z antidotum, remedium. Dla mnie więc to hasło oznacza, że w medycynie i farmacji kluczowa jest nasza postawa - profesjonalizm, życzliwość, chęć niesienia pomocy czy odpowiedzialność za drugiego człowieka. To wartości, których nie da się zamknąć w opakowaniu leku, a które każdego dnia przekładają się na bezpieczeństwo oraz zdrowie pacjentów.

eprasa.pl d72073f4ec

KULTURA

64. Bydgoski Festiwal Muzyczny poza filharmonią

Opr. Adam Szczęśniak

Wybitni artyści, znakomite orkiestry, muzyczne odkrycia i niezwykłe spotkania różnych tradycji, stylów i epok. 64. Bydgoski Festiwal Muzyczny zapowiada się jako miesiąc, od 18 września do 16 października, intensywnych muzycznych emocji.

FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ

Filharmonia Pomorska właśnie przechodzi rozbudowę, więc festiwalowe koncerty przenoszą się w tym roku do innych lokalizacji

Tegoroczna 64. edycja BFM będzie wyjątkowa również za sprawą miejsc, w których zabrzmi festiwalowa muzyka. W związku z trwającą modernizacją gmachu Filharmonii Pomorskiej koncerty odbędą się aż w pięciu lokalizacjach. Festiwal wyjdzie tym samym poza swoją tradycyjną siedzibę, a różnorodne przestrzenie staną się dodatkowym elementem muzycznych kontrastów.

Szczególną oprawę zyska już piątkowy koncert inauguracyjny w hali Bydgoskiego Centrum Targowo-Wystawienniczego, podczas którego publiczność będzie mogła doświadczyć dźwięku immersyjnego.

„Technologia otaczającego dźwiękiem słuchacza pozwoli stworzyć wielowymiarową przestrzeń akustyczną i jeszcze pełniej zanurzyć się w muzyce. To nie tylko otwarcie, ale także zapowiedź edycji, która chce zaskakiwać - repertuarem, miejscem i sposobem doświadczania muzyki.

Festiwal rozpocznie 18 września o godz. 19 Aleksandra Kurzak, jedna z najbardziej cenionych polskich śpiewaczek operowych o międzynarodowej renomie. Sopranistka współpracuje z najbardziej prestiżowymi teatrami operowymi, występując m.in. w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, Royal Opera House Covent Garden w Londynie, Operze Paryskiej, Wiedeńskiej Operze Państwowej czy mediolańskiej La Scali. Jej kreacje w operach Pucciniego, Verdiego i Donizettiego przyniosły jej międzynarodowe uznanie, a wyjątkowa muzykalność, szlachetność brzmienia i sceniczna charyzma sprawiają, że należy do grona najwybitniejszych polskich artystek naszych czasów.

Podczas koncertu inauguracyjnego Aleksandra Kurzak wystąpi wraz z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Pomorskiej pod batutą Rafała Janiaka. Program wieczoru wypełnią najpiękniejsze arie z oper Giacoma Pucciniego, Giuseppe Verdiego i Francesca Cilei – kompozytorów, którzy stworzyli jedne z najbardziej poruszających kobiecych postaci w historii opery.

W kolejnych tygodniach Bydgoszcz stanie się miejscem spotkania artystów, zespołów i muzycznych i tradycji z różnych epok i stron Europy" - informuje Katarzyna Szewczyk z Działu Promocji FP.

W trakcie BFM melomani usłyszą precyzję i ekspresję wokalną Art'n'Voices (20.09), zajrzą do fascynującego świata XVIII-wiecznej opery (23.09), a podczas koncertu „Niedokończone..." (25.09) zmierzą się z jednym z najbardziej intrygujących motywów w historii muzyki. Do Bydgoszczy przyjedzie także Orkiestra Filharmonii Poznańskiej pod batutą Łukasza Borowicza, a przy fortepianie zasiądzie znakomity Lukáš Vondráček (30.09). W programie tego wieczoru spotkają się Bacewicz, Liszt i Szymanowski - trzy odmienne muzyczne osobowości i różne światy dźwiękowe.

Festiwal przypomni również o niezwykle ważnym dla historii Filharmonii Pomorskiej dziedzictwie Musica Antiqua Europae Orientalis. W bydgoskiej katedrze cypryjski Romanos Choir wykona hymny bizantyjskie, przywołując ideę dialogu kultur Wschodu i Zachodu, która przez dziesięciolecia była jednym ze znaków rozpoznawczych Bydgoszczy (4.10). Miłośników muzyki dawnej czeka spotkanie ze znakomitą Freiburger Barockorchester (7.10), zaś wielbicieli monumentalnego repertuaru symfonicznego - III Symfonia Gustava Mahlera (9.10).

Nie zabraknie także propozycji dla całych rodzin. „Akademia Pana Kleksa" przypomni muzykę, na której wychowały się kolejne pokolenia słuchaczy (11.10), a finałowa „Symfonia Rocka" połączy symfoniczne brzmienie z energią największych rockowych przebojów (16.10).

Siedziba Filharmonii Pomorskiej znajduje się obecnie przy ul. Słowackiego 7 w Bydgoszcz. Kasa biletowa czynna od wtorku do piątku od 14. do18., a także w miejscu wydarzenia godzinę przed koncertem. Bilety na www.filharmonia.bydgoszcz.pl©℗

ZWIERZENIA PRZY MUZYCE

IRA: Na pewno nie będzie to płyta jakaś taka podsumowująca te 40 lat naszego istnienia

Magda Jasińska

10 września premierowo ukazał się nowy singiel zespołu IRA – „Za każdy dzień„. To pierwsza zapowiedź długo wyczekiwanego albumu studyjnego, który ukaże się na początku 2027 roku. Nadchodzący rok będzie dla zespołu wyjątkowy – IRA świętować będzie 40-lecie obecności na polskiej scenie muzycznej.

FOT. JULITA GÓRSKA

Zwierzenia zespołu IRA na antenie Radia PiK w sobotę, godz. 19.05

Szczerze mówiąc nie pamiętam, kiedy ostatnio w studiu pojawił się cały zespół. Skoro mamy całą piątkę, to zróbmy sobie taką małą listę obecności. Artur Gadowski - obecny, Piotr Sójka - obecny, Wojciech Owczarek, Piotr Konca i Sebastian Piekarek - obecni. Trochę nam kazaliście czekać na swój nowy album.

Artur Gadowski: Ja wiem, czy to tak długo trwało?

Piotr Konca: Nie kazaliśmy, czekaliście po prostu.

Artur Gadowski: Kiedyś była pandemia, a my sobie pracowaliśmy. Przygotowywaliśmy piosenki, jak uznaliśmy, że już są gotowe i warto je zaprezentować, to postanowiliśmy wydać płytę i tyle.

Na tę płytę jeszcze musimy trochę poczekać, bo będzie ona wydana na czterdziestolecie zespołu, prawda?

IRA: Wiosną przyszłego roku.

A 40-lecie zobowiązuje.

Artur Gadowski: Ja nie wiem, bo mówisz zobowiązuje, nie bardzo wiem do czego. Na pewno nie będzie to płyta jakaś taka podsumowująca te 40 lat. To będzie płyta z premierowym autorskim materiałem naszego zespołu.

IRA: Bardzo się cieszymy z tego, że już tyle zespół istnieje i bardzo fajnie sobie radzi, ale póki co, priorytetem jest nagranie tej płyty.

Już nagraliście wszystkie nowe utwory wszystkie, czy jeszcze nie?

Artur Gadowski: No jeszcze nie wszystkie, ale już praca zmierza ku końcowi.

IRA: No pewnie koło 11 numerów. Oczywiście tak jak zawsze, tych piosenek powstało więcej, ale ostateczną ilość to już wybierzemy tuż przed wydaniem, czy to będzie 10, czy to będzie 11, czy to będzie 12? Nie wiem.

„Za każdy dzień" bardzo taki energetyczny numer, ale też taki typowo „irowy".

Artur Gadowski: No to miło nam to słyszeć, bo niektórzy nas pytają, jaki charakter będzie miała ta nowa płyta. No właśnie taki. Postanowiliśmy, że może troszkę pod prąd temu, co dzisiaj jest modne, to znaczy wszyscy grają bardzo delikatnie, a my postanowiliśmy zagrać mocniej, po męsku.

To spytamy autora tekstu, o czym to jest historia?

Artur Gadowski: O zmaganiu się z życiem. O zmaganiu się z trudnościami życia codziennego.

Muzykę stworzyli gitarzyści. A jak w ogóle powstają u was kolejne numery, Wy przychodzicie na próbę i tworzycie? Czy to jest tak, że Artur pisze tekst do gotowej ścieżki muzycznej?

Piotr Konca: To się nie dzieje na próbach. Pracujemy w studiu, ostatnio w zasadzie skupiliśmy się na tego typu działaniu. Od dłuższego czasu pracujemy od zera, od pomysłu poprzez całe aranżacje, wyprodukowanie, aż do jakiejś tam wersji finalnej. Robimy to sami.

Artur Gadowski: Piotr jest bardzo skromny, ponieważ on również miksuje te piosenki i to jest jego dzieło. Sebastian i Piotr produkują, są producentami muzycznymi i kompozytorami tych piosenek, a ja jedynie tam śpiewam, albo na przykład kręcę nosem, że mi się nie podoba jakaś melodia.

A często zdarza Ci się, że kręcisz tym nosem?

Sebastian Piekarek: Pewnie, ale teraz konsultacje na temat twórczości, na temat tego kto jak czuje się z daną piosenką są tak naturalne jak zawsze były, tylko kiedyś to się odbywało na próbach, ponieważ nie było innej możliwości. Nie mieliśmy takiej możliwości, kiedyś po prostu technologii nie było, więc to były próby, dzisiaj możemy sobie pracować po prostu w naszych domowych pracowniach, czy też studiach. Jak zwał tak zwał.

Artur Gadowski: Ja mam drewutnię. (śmiech)

O widzisz, niektórzy nagrywają w szafie wokale, a Artur w drewutni.

Artur Gadowski: W sumie nie wiem jak to nazwać, pracownia, studio?(...)©℗

eprasa.pl d72073f4ec

OBYCZAJE

Tasiemiec w słoiku, hemoroid na zdjęciu, recepta z gołębnika, czyli dzień z życia farmaceuty

Adam Willma

- Te tabletki miały paskudny smak – narzeka pacjentka. – Bo były dopochwowe. Farmaceuci opowiadają w internecie o najbardziej szokujących sytuacjach, jakie spotkały ich za pierwszym stołem. Okazuje się, że praca w aptece może dostarczyć materiału na niejedną książkę.

FOT. MAŁGORZATA GENCA /ZDJ. ILUSTRACYJNE

Życie farmaceutów obfituje w sytuacje, które się filozofom nie śniły. Zdarzają się problemy, przy których mają ograniczone możliwości

Farmaceutka Paulina Front napisała na swoim profilu w mediach społecznościowych, że praca w aptece prowadzi niechybnie do sytuacji, których później „nie da się odzobaczyć". Opowiedziała o przypadkach przelewania moczu ze słoika, kładzenia stóp na blat w celu pokazania grzybicy, zakrwawionych dokumentach oraz pacjentach wybierających preparaty za pomocą ezoterycznego wahadełka.

Farmaceutka poprosiła koleżanki i kolegów po fachu o dzielenie się własnymi historiami.

I niechcący otworzyła puszkę Pandory.

Tasiemiec przyszedł razem z pacjentem

Jedna z uczestniczek dyskusji opowiada o najbardziej kuriozalnym ze swoich doświadczeń:

„Pacjent przyszedł i mówi: Chyba mam robaki. Pytam, po czym poznaje. A on: łup słoik na blat. O takie mi wyszło, jak się załatwiałem. A tam w słoiku tasiemiec uzbrojony. Byłam wtedy młodą farmaceutką i tego się nie da odzobaczyć".

Inna osoba wspomina żywe owsiki pełzające po okienku. Kolejna dostała do obejrzenia zasuszone owsiki. Zdarzył się również rodzic, który przyniósł do apteki próbkę kału dziecka w słoiku.

Pewien starszy pan postanowił bardzo dokładnie wyjaśnić swój problem:

„Pomimo zapewniania, że nie jest to konieczne, wyciągnął z kieszeni spodni zawiniątko z papieru toaletowego, delikatnie odwinął i pokazywał, jak wygląda jego stolec. Jedni noszą w kieszeni klucze, portfel, telefon, a inni swój kał".

Magnes. Najlepiej na lodówkę

Kontakt z niektórymi klientami wymaga od farmaceuty szerokiej orientacji pozamedycznej:

„Czy ma pan magnes? Tak, mam, najlepsza będzie firma organiczna... – i zaczynam wywód o magnezie. A pani z bardzo zdziwioną miną: Ale ja taki na lodówkę chciałam...".

W innej aptece doszło do jeszcze prostszego nieporozumienia.

„U mnie ostatnio dziadzio wszedł, podszedł do okienka i poprosił o piwo. Pomylił aptekę z Żabką, która jest tuż obok".

Zdarzają się problemy, przy których farmaceuta ma bardzo ograniczone pole manewru.

„Dawno temu do żony na nocnym dyżurze zadzwonił facet, który zapytał, co ma zrobić, bo jedzie teraz pociągiem i go gardło boli...".

Leki wybrane przez wahadełko

Wahadełko pojawia się w opowieściach farmaceutów zaskakująco często:

„Machanie wahadełkiem przy wyborze leku. Najbardziej przerażające było to, że robiła to starsza lekarka".

Bywają również różdżki.

„U nas były różdżki i pytanie: Czy to jest dobre dla mojego dobrostanu? Nie, dziękuję. Czy to jest dobre dla big pharmy? Tak, dziękuję. Rozważania dotyczyły pastylek na ból gardła".

Jedna z farmaceutek wyznaje, że widok wahadełka zawsze budzi w niej niepokój.

„Gdy pacjent wyciąga wahadło, to wstrzymuję oddech, bo kiedyś powiedział, że dzięki niemu może poznać również charakter człowieka".

Proszę tego nie pokazywać

Najwięcej historii dotyczy pacjentów, którzy uznają, że opis słowny to za mało.

„Pacjentka pokazała mi wysypkę na biuście, w całej okazałości, a ja w głowie miałam, że w jej wieku chcę taki biust".

Bywają też nieporozumienia związane z przygotowaniem do pomiaru.

„Koleżanka, w celu doboru pończoch uciskowych, zaprosiła pacjenta do pokoju pomiarów, żeby się przygotował, a sama poszła jeszcze po coś na zaplecze. Kiedy weszła do pokoju, zastała pacjenta rozebranego do rosołu".

Inny pacjent chciał precyzyjnie wyjaśnić, czego potrzebuje:

„Starszy pan chciał pokazać, czym kończy się cewnik. Wyciągał, wyciągał, a ja go powstrzymywałam, że już rozumiem, że pewnie chce kupić worek do moczu. Ale strach był...".

Apteczna lada bywa też wykorzystywana jako stanowisko serwisowe.

„Pan poprosił o klej do protez, zapłacił za niego, po czym wyjął protezę z buzi, położył na ladę, nałożył klej i z powrotem ją włożył".

Ta sama farmaceutka wspomina: „Pani podeszła do okienka i pokazała z zaskoczenia zdjęcie w telefonie swojego odbytu z ogromnym hemoroidem. Mogłabym pisać i pisać. Szczerze, to już raczej nic mnie nie zaskoczy".

Tabletki były niedobre

Farmaceuta musi być też przygotowany na nietypowe reklamacje:

„Tabletki miały paskudny smak".

Były dopochwowe.

Inna klientka chciała upewnić się, że właściwie zrozumiała sposób stosowania preparatu.

„Kobieta po zakupie Clotrimazolu stanęła w lekkim rozkroku i palcem, wskazując blisko krocza, chciała potwierdzenia, że ma tam smarować. No niby tam, ale tak obrazowo, bez krępacji, a kolejka stoi i słucha...".

Recepta z gołębnika

W czasach recept papierowych dodatkowych wrażeń dostarczał stan przynoszonych dokumentów.

„Dawno temu, w erze recept papierowych, pan przyniósł receptę, która mu wypadła w gołębniku i przeleżała tam kilka dni".

Zdarzały się również znacznie bardziej nietypowe przesyłki.

„Glista w pudełku po lodach przyniesiona na biurko do poradni POZ. Był upalny dzień, lody nie wyglądały podejrzanie".

Bywało jeszcze bardziej dosłownie.

„Pacjent zaczął zmieniać worek stomijny. Ale coś poszło nie tak i zaczął krwawić, umazał ręce, siebie, nakapał na podłogę. Musiałyśmy mu podawać ręczniki papierowe, a podłoga po tym wszystkim myta była kilka razy".

Apteka tylko dla ludzi o mocnych nerwach

Po przeczytaniu kilkudziesięciu podobnych historii jedna z internautek kwituje:

„Czytam te komentarze przed śniadaniem. Niepotrzebnie. Praca w aptece jest dla ludzi o mocnych nerwach".

Jeden z uczestników dyskusji spojrzał natomiast na sprawę z perspektywy klienta.

„Najdziwniejsze, co mnie spotkało w aptece, miało miejsce dzisiaj. Trafiłem na panią farmaceutkę, która poszła normalnym krokiem po mój lek i go przyniosła, nie siedząc na zapleczu 30 minut".©℗

MYŚLĘCINEK

Narodziny w bydgoskim zoo. Poznajcie Ghanę, uroczą nialę grzywiastą

Małgorzata Pieczyńska

Ogród Zoologiczny w Myślęcinku od niedawna ma nową mieszkankę. To samiczka niali grzywiastej o imieniu Ghana. Maluszek jest bardzo ciekawy świata i już skradł serca swoich opiekunów oraz odwiedzających zoo.

Bydgoszczanie i nie tylko bardzo chętnie, szczególnie w weekendy, zaglądają do zoo w Leśnym Parku Kultury i Wypoczynku w Myślęcinku. Teraz będzie ku temu kolejny powód, bo przybyła tam nowa lokatorka. To samiczka niali grzywiastej (gatunek afrykańskiej antylopy).

- Jej narodziny to wielka radość dla naszego ogrodu - mówi Tamara Samsonowicz, dyrektor Ogrodu Zoologicznego w Myślęcinku. - Maleństwo przyszło na świat 8 września. Początkowo 2-3 doby bacznie ją obserwowaliśmy. Samiczka jest zdrowa i czuje się dobrze. Jej rodzicami są Nutella - także urodzona się w naszym ogrodzie i Gabon, który już jakiś czas temu przyjechał do nas z Ogrodu Zoologicznego w Chorzowie. To pierwsze potomstwo tej pary.

Nowa lokatorka myślęcińskiego zoo otrzymała już imię. Nazywa się Ghana.

- Zazwyczaj nowo narodzonym samiczkom nadajemy imię na literę, na którą rozpoczyna się imię jej mamy, ale w tym przypadku uznaliśmy, że mała niala grzywiasta jest bardzo żwawa i ma charakterek po tatusiu, stąd otrzymała imię na literę G - Ghana. To też nawiązanie do Afryki, skąd pochodzi ten gatunek antylopy - wyjaśnia Dominika Gulda, asystent naukowy w Ogrodzie Zoologicznym w Myślęcinku.

Coraz odważniej poznaje wybieg i psociMała niala grzywiasta ma za sobą już pierwsze spacery. Coraz odważniej poznaje swój wybieg, no i psoci.

- Jedno trzeba przyznać - jest bardzo ciekawa świata. Już zauważyła zabawki i się nimi zainteresowała. Zagląda też po sąsiedzku do zebry i nie boi się zwiedzających - mówi Dominika Gulda.©℗

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

Nowa lokatorka myślęcińskiego zoo nazywa się Ghana

eprasa.pl d72073f4ec

PRAWO

Księga JPK_PD to bat na papierologię czy dodatkowy obowiązek dla firm? „Łatwiej to jest urzędnikom”

Agnieszka Domka-Rybka

Nowy obowiązek dla firm JPK_PD to cyfrowe księgi wysyłane do skarbówki. - Nieźle to sobie wymyślili, robimy robotę za urzędników - komentuje przedsiębiorca spod Bydgoszczy.

Otrzymaliśmy taki sygnał od przedsiębiorcy spod Bydgoszczy, który prowadzi jednoosobową działalność usługową - jest „vatowcem”.

FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

JPK_VAT to cyfrowa księga, którą firma musi przekazać fiskusowi

„Skoro robię to co miesiąc, to po co jeszcze raz na rok?”

- Postanowiłem wypowiedzieć się na temat Jednolitego Pliku Kontrolnego w Podatkach Dochodowych, JPK_PD, czyli nowego obowiązku elektronicznego raportowania ksiąg i ewidencji podatkowych dla PIT oraz CIT. I, o ile uważam, że w KSeF, choć też firmy narzekają, są rzeczy ułatwiające życie i nam i urzędnikom i nawet JPK też ujdzie, ale JPK-PD? Jaki sens ma zebranie rachunków na koniec roku tego, co i tak robię co miesiąc i znowu wpisywanie tego w rubryczki z całych 12 miesięcy? Przecież to jest bez sensu. Nie powinno odbywać się automatyczne? Widzę w tym jednak drugie dno, bo pewnie chodzi o ułatwienie życia urzędnikom, żeby oni nie musieli tego robić. Robimy za nich robotę. Nieźle to sobie wymyślili. Chciałbym bardzo zapytać Krajową Administrację Skarbową, w jaki sposób ułatwi to życie przedsiębiorcom? - pyta pan Cezary.

Dla niewtajemniczonych: JPK_PD to, po prostu, elektroniczny raport o podatkach firmy, który przedsiębiorca przekazuje fiskusowi. Czyli, prowadzi on księgi, z danych w nich zawartych powstaje plik JPK_PD, który trafia do urzędu skarbowego.

Mówimy więc o cyfrowej księdze firmy wysyłanej - regularnie - do skarbówki.

Jak KAS tłumaczy przedsiębiorcom ten nowy obowiązek?

Tak nam odpowiada Bartosz Stróżyński, rzecznik Izby Administracji Skarbowej w Bydgoszczy: - Wprowadzony obowiązek przesyłania JPK_PD pozwoli na zmniejszenie obciążeń przedsiębiorców, związanych z prowadzeniem kontroli, przez umożliwienie administracji skarbowej weryfikacji prawidłowości rozliczeń i wykrywania nadużyć w formie zdalnej, bez konieczności przeprowadzania czynności na miejscu oraz zwiększenie ich efektywności. Dotychczas, w przypadku ksiąg prowadzonych przy użyciu programów komputerowych, na podstawie art. 193a § 1 ustawy Ordynacja podatkowa organ podatkowy mógł żądać przekazania całości lub części ksiąg podatkowych oraz dowodów księgowych za pomocą środków komunikacji elektronicznej lub na informatycznych nośnikach danych. Przesyłanie ksiąg podatkowych w ustrukturyzowanej formie (tzw. JPK) nie jest zatem całkowicie nową instytucją.

Ten obowiązek wchodzi w życie etapami

Dodajmy, że obowiązek wchodzi w życie etapami.

Od 1 stycznia 2025 roku dotyczy podatników CIT z przychodami powyżej 50 mln euro oraz podatkowych grup kapitałowych; od 2026 roku pozostałych podatników CIT i PIT, którzy rozliczają VAT i składają pliki JPK_VAT miesięcznie; od 2027 już wszystkich podatników CIT i PIT (w tym rozliczających JPK_VAT kwartalnie).

Księga musi być prowadzona przy użyciu programu komputerowego, który potrafi wygenerować plik XML, zgodny z oficjalną strukturą logiczną Ministerstwa Finansów (zawierający m.in. numery NIP kontrahentów oraz numery KSeF, jeśli zostały nadane).

©℗

ŻYWNOŚĆ

Ziemniaki stały się towarem deficytowym. W sklepach podrożeją

Lucyna Talaśka-Klich

Odkąd ziemniaki stały się towarem poszukiwanym, rolnicy dziwią się, że nie przekłada się to na wzrost cen towarów w gospodarstwach tylko w sklepach. Niektórzy za bulwy dostają nawet mniej niż przed rokiem. I to powinno się zmienić.

- Sytuacja na rynku ziemniaków, w porównaniu do tej sprzed roku, odwróciła się. Te bulwy stały się towarem deficytowym - mówi Kamil Maniak, prezes Stowarzyszenia Polski Ziemniak.

Były problemy, dziś są pytania od kupujących

W ubiegłym roku producenci ziemniaków mieli ogromne problemy ze sprzedażą ziemniaków.

- Skrobiowe były zakontraktowane i jakoś udało się je sprzedać, jednak około trzydziestu procent ziemniaków jadalnych musieliśmy wyrzucić - twierdzi Józef Pawela, rolnik z Wylatowa (gm. Mogilno). - W tym roku sytuacja powinna być lepsza, już pojawiają się zapytania od kupujących, którzy szukają towaru.

Ubiegłoroczne problemy przełożyły się na zmniejszenie powierzchni upraw. W 2025 roku w województwie kujawsko-pomorskim ziemniaki uprawiano na 22 642,25 ha, w 2026 roku te uprawy zajmują 20 434,16 ha. Tak wynika z rejestru upraw ARiMR (to dane z wniosków o przyznanie płatności bezpośrednich).

I to jest - zdaniem prezesa Stowarzyszenia Polski Ziemniak - jeden z powodów zawirowań na rynku. - Po drugie w południowej i zachodniej części Europy ziemniaków będzie znacznie mniej - dodaje Kamil Maniak. - To efekt suszy i upałów. Dlatego cena powinna iść do góry.

- Szkoda, że producenci ziemniaków tylko słyszą, że tego towaru na rynku brakuje, ceny w sklepach rosną, a kupujący nam nie oferują wyższych stawek , a nawet jeszcze niższe! - zauważa Barbara Pilarska, rolniczka ekologiczna, która z mężem Aleksandrem prowadzi gospodarstwo w Retkowie (gm. Szubin).

Szkoda, że producenci ziemniaków tylko słyszą, że tego towaru na rynku brakuje, ceny w sklepach rosną, a kupujący nam nie oferują wyższych stawek , a nawet jeszcze niższe!

BARBARA PILARSKA

FOT. PIXABAY

Ziemniaków w tym roku jest mniej nie tylko w Polsce, ale i w wielu krajach Europy Zachodniej. To efekt m.in. suszy i upałów

W ich gospodarstwie ziemniaki bio są uprawiane na 100 ha. Za pośrednictwem firmy trafiają do sklepów dużej sieci handlowej. Jeśli sprzedają ten towar odbiorcom detalicznym, to ci płacą za kilogram 2 zł.

Ziemniaki jadalne, z upraw konwencjonalnych, w sieciach handlowych kosztują zazwyczaj od 1,50 zł do 2 zł/kg, w promocji stawki spadają do ok. 1 zł/kg. Jednak ostatnio ceny w niektórych sklepach rosną, dochodzą nawet do 3,99 zł/kg. I właśnie ziemniaki stają się coraz częściej tym towarem, którego promocyjna sprzedaż ma być wabikiem dla klientów - tak jak wcześniej masło czy cukier.

Skrobiowe z kontraktem i ceną sprzed miesięcy

- To będzie rok rolnika - mówi Kamil Maniak. - Jeśli producent ziemniaków ma towar dobrej jakości i możliwości, by go przechować, to lepiej na razie poczekać ze sprzedażą.

Mariusz Ziemniak, który prowadzi rodzinne gospodarstwo w Strzelcach (gm. Mogilno) zwraca uwagę, że producenci ziemniaków skrobiowych są związani z odbiorcami umowami kontraktacyjnymi, w których zapisano stawkę niższą niż przed rokiem, a przecież koszty produkcji wzrosły. Ma nadzieję, że to, co obecnie dzieje się na rynku, przełoży się na wyższe ceny ziemniaków skrobiowych w przyszłym sezonie.

Biuro Prasowe Krajowej Grupy Spożywczej poinformowało: (...) w Przedsiębiorstwie Przemysłu Ziemniaczanego Trzemeszno Sp. z o.o., należącym do Grupy Kapitałowej KGS, w bieżącej kampanii nie odnotowujemy problemów z zapewnieniem dostaw surowca, na ten sezon Zakład zawarł umowy kontraktacyjne z około 1200 plantatorami z różnych regionów Polski.

Na tym etapie trudno jednak jednoznacznie określić ostateczny poziom realizacji zakontraktowanych ilości, dokładniejsze dane w tym zakresie będą dostępne po rozpoczęciu dostaw ziemniaków odmian późnych.

Trzeba też mieć na uwadze, że ekstremalnie wysokie temperatury występujące w okresie wegetacji mogą wpłynąć na niższy od zakładanego poziom realizacji kontraktacji.”©℗

eprasa.pl d72073f4ec

ROZMOWA

Subkultury nie zniknęły, ale zmieniły formę

Mira Suchodolska (PAP)

- Młodzi potrzebują jednak wartości, busoli, poczucia sensu. Bez ich buntu nie ma przyszłości - mówi prof. Mirosław Pęczak, kulturoznawca, badacz kultury popularnej i subkultur.

Kiedy myślimy o początkach polskich subkultur młodzieżowych, zaczynamy od hipisów przełomu lat 60. i 70. Wcześniej niczego nie było?

Historia polskich subkultur młodzieżowych nie zaczyna się od hipisów. Jej korzenie sięgają dwudziestolecia międzywojennego. Mieliśmy wtedy choćby apaszów, czyli młodą część półświatka kryminalnego.

Natomiast pierwsza prawdziwa erupcja nowoczesnej subkultury młodzieżowej nastąpiła na początku lat 50. wraz z bikiniarzami. Łączyła ich fascynacja amerykańską kulturą masową, przede wszystkim muzyką i filmem, oraz potrzeba autoekspresji poza oficjalnymi instytucjami. Bikiniarze mieli

FOT. SWPS

Prof. Mirosław Pęczak: - Dzisiaj nie mamy już tak ostrego konfliktu pokoleniowego jak w latach 60

swoich naturalnych przeciwników – chuliganów. Ten podział później powracał: pod koniec lat 60. mieliśmy już hipisów i gitowców, reprezentujących zupełnie inne systemy wartości.

I właśnie to chyba odróżnia dawne subkultury od dzisiejszych mód. Nie wystarczyło się ubrać. Trzeba było się opowiedzieć po którejś stronie.

Tak. Subkultura oznaczała pewien rodzaj lojalności. Przynależność wiązała się z określonym sposobem życia, gustem, zachowaniem, a często również z systemem wartości. Później zaczęło się to zmieniać. Angielski socjolog David Muggleton używa pojęcia „postsubkultury". Według niego ostatnią klasyczną subkulturą był punk. Potem pojawiły się zbiorowości, które nie były już budowane na rygorystycznej ideologii i trwałej lojalności grupowej – coraz ważniejsza stawała się estetyka. Można było dzisiaj wybrać jeden styl, a jutro zupełnie inny.

Kapitalizm nauczył się jednak pożerać bunt. Irokez, glany czy podarte spodnie przestały kogokolwiek szokować, bo chwilę później można je kupić w galerii handlowej.

Komercjalizacja rzeczywiście bardzo wiele zmieniła. Ale nie zawsze jest tak, że biznes dopiero przejmuje jakąś autentyczną subkulturę. Czasem element komercyjny jest obecny niemal od początku.

Dobrym przykładem jest hip-hop. Często idealizujemy jego początki, tymczasem hiphopowcy wcale nie brzydzili się komercją – w amerykańskich teledyskach bardzo wcześnie pojawiały się symbole materialnego sukcesu: samochody czy złote łańcuchy.

Ale gdzie są ci młodzi, którzy naprawdę potrafią zatrząść światem? Punkowcy krzyczeli „No Future", hipisi rzucili wyzwanie mieszczańskiemu porządkowi. Dzisiaj mam czasem wrażenie, że algorytm zdąży sprzedać młodym bunt, zanim oni sami zorientują się, że się buntują.

Przede wszystkim zmieniła się demografia. W latach 60. młodych ludzi było bardzo dużo, a dzisiaj społeczeństwa Europy i Ameryki Północnej wyraźnie się starzeją. Zmieniły się też stosunki między pokoleniami. Starsi często nie rozumieją młodych, młodzi nadal tworzą własny kod kulturowy, ale nie mamy już tak ostrego konfliktu pokoleniowego jak w latach 60.

To czego trzeba, żeby dzisiejsi młodzi się naprawdę zbuntowali i zaczęli być widoczni w debacie publicznej, a nie tylko w grupach na Discordzie czy tiktokowych rolkach? Wojny? Kryzysu? Poczucia, że skończyła się wygodna przyszłość, którą obiecywali im rodzice?

Musiałoby pojawić się coś podobnego do warunków, które towarzyszyły narodzinom kontrkultury amerykańskiej i europejskiej. W Stanach Zjednoczonych bardzo ważna była wojna w Wietnamie i perspektywa poboru do wojska. W Europie młodzi widzieli sprzeczność między deklarowanym porządkiem demokratycznym a rzeczywistością. We Francji przed majem 1968 roku dochodziły do tego konkretne problemy: przepełnione akademiki, trudne warunki studiowania, zablokowane kanały awansu. Długo młodzi Francuzi z klasy średniej nie myśleli o buncie. A potem protest wylał się na ulice. Dziś takim zapalnikiem mógłby być poważny dyskomfort ekonomiczny, gdyby dotknął młodych.©℗

KOŚCIÓŁ

Katecheza parafialna nie ma być tylko szkolną lekcją religii

Adam Willma

Biskupi zachęcają do odnowy katechezy parafialnej. Ma być prowadzona w małych grupach i nie powinna przypominać szkolnej lekcji religii. Mniej administrowania, więcej przestrzeni na spotkania także dla osób poszukujących i zdystansowanych od Kościoła - postulują biskupi.

Takie wezwanie znalazło się w liście pasterskim przygotowanym z okazji XVI Tygodnia Wychowania. W tym roku będzie on obchodzony od 13 do 19 września pod hasłem „Wychowanie i formacja we wspólnocie wiary".

Biskupi zwracają uwagę, że zmiany wymaga sposób prowadzenia duszpasterstwa. Parafia powinna być otwarta nie tylko na osoby regularnie uczestniczące w życiu Kościoła.

„Chcemy, aby stało się ono przestrzenią spotkania dla każdego: dla osób głęboko wierzących, ale także dla poszukujących czy zdystansowanych do spraw wiary" - czytamy w liście.

FOT. ANNA KACZMARZ

Polscy biskupi zachęcają do odnowy katechezy parafialnej

Nie druga lekcja religii

Parafie nie powinny być postrzegane przede wszystkim jako miejsca załatwiania spraw związanych z sakramentami czy dokumentami: „Chcemy dziś zaprosić Was do wspólnego spojrzenia na nasze parafie nie jako na urzędy, ale na miejsca autentycznego spotkania z Bogiem i bliźnimi" - podkreślają autorzy listu. Jednym z narzędzi takiej zmiany ma być katecheza parafialna.

Biskupi wyraźnie rozdzielają katechezę w parafii od religii prowadzonej w szkole.

Podkreślają przy tym, że szkolne lekcje nadal uznają za ważne dla rozwoju dzieci i poznawania wiary. Spotkania w parafii mają jednak wyglądać inaczej.

„Katecheza parafialna nie jest powtórzeniem szkolnej lekcji religii. Choć religia w szkole pozostaje niezwykle cenna i nieodzowna dla rozwoju dziecka i poznawania Boga, katecheza w parafii ma inny cel i inną formę" - wskazują biskupi. Podstawą mają być niewielkie grupy. Ich uczestnicy mają mieć możliwość rozmowy o swoich problemach, wspólnej modlitwy i kontaktu z osobami, które nie ograniczają się do przekazywania wiedzy religijnej. Według autorów listu duszpasterze i animatorzy powinni przede wszystkim dzielić się własnym doświadczeniem wiary.

Przykład z Francji

W liście biskupi powołują się na sytuację Kościoła we Francji. Według przytoczonych przez nich danych podczas tegorocznej Wigilii Paschalnej liczba chrztów przekroczyła tam 21 tys. i była o blisko 20 proc. wyższa niż rok wcześniej.

Zwracają uwagę przede wszystkim na wiek nowych wiernych. Większość z nich ma należeć do pokolenia Z i nie pochodzić z rodzin praktykujących religijnie.

Zdaniem biskupów część młodych Francuzów zainteresowała się wiarą dzięki osobistym kontaktom z wierzącymi znajomymi, rodzicami, dziadkami, księżmi i katechetami. Pierwszym impulsem często były jednak treści znalezione w internecie:

„Dla nas w Polsce jest to jasny sygnał: sekularyzacja nie jest wyrokiem, ale wezwaniem, by zacząć budować wspólnoty, w których Jezus naprawdę jest pośród nas".

Autorzy listu przyznają, że podobne formy duszpasterstwa działają już w wielu parafiach. Zastrzegają, że ich apel nie ma oznaczać narzucenia jednego nowego modelu.

„Niniejsza prośba nie jest próbą narzucania nowych rozwiązań, lecz zachętą do wspólnego odczytania znaków czasu. Stajemy dziś przed fundamentalnym pytaniem o przyszłość naszych wspólnot" - piszą biskupi. Według nich odpowiedzią powinno być odejście „od modelu administrowania parafią do odważnej ewangelizacji".

Chcemy dziś zaprosić Was do wspólnego spojrzenia na nasze parafie nie jako na urzędy, ale na miejsca autentycznego spotkania z Bogiem i bliźnimi.

AUTORZY LISTU

Biskupi zwracają się też bezpośrednio do księży. Podkreślają, że odnowa katechezy parafialnej nie powinna być traktowana jako kolejny obowiązek dokładany do dotychczasowych zajęć.

List podpisali biskupi obecni na 405. Zebraniu Plenarnym Konferencji Episkopatu Polski w Łomży.
©℗

eprasa.pl d72073f4ec

STOPKLATKA

FOT. PAP/EPA/RONALD WITTEK

↑ Ursula von der Leyen wygłosiła orędzie o stanie Europy. Podczas sesji Parlamentu Europejskiego szefowa Komisji nakreśliła serię propozycji dla UE na kolejny rok. Głównym punktem wystąpienia była zapowiedź podpisania umowy stowarzyszeniowej z Kanadą. Jej słowom z aprobatą przysłuchiwał się kanadyjski premier Mark Carney

FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

↑ Na plaży w Rusinowie niedaleko Jarosławca w Zachodniopomorskiem odnaleziono rosyjskiego drona uzbrojonego w głowicę bojową. Saperzy zdetonowali ładunek od razu na plaży. Nie wiadomo dokładnie, jak się tam znalazł, służby przypuszczają, że Rosjanie stracili z nim kontakt podczas manewrów nad Bałtykiem

FOT. PAP/EPA

→ Xi Jinping przybył do New Delhi w Indiach, by wziąć udział w szczycie BRICS. Dużo więcej emocji wzbudził jego powrót - bo towarzyszyły mu dyskusje, czy nie był on wywołany problemami ze zdrowiem 73-letniego przywódcy Chin. Oficjalnie nikt tego nie potwierdził, podobno wszystko odbyło się zgodnie z planem. A 24 września Xi spotka się z Donaldem Trumpem

FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

← Już po raz trzeci ściany aresztu śledczego w Szczecinie zostały wykorzystane jako przestrzeń dla twórców street artu. 14 artystów z Polski, Azji i Europy mogło w tym miejscu przedstawić swoje prace. Szare ściany aresztu nabrały kolorów

eprasa.pl d72073f4ec

Bydgoszcz i Toruń w jednym ogrodzie? Działkowcy ostrzą szpadle- Str. 17

PULS *regionów*

Świat A.D. 2027 według George'a Friedmana

– Str. 14-15

BT

eprasa.pl d72073f4ec

POLITYKA

Friedman: Nadszedł czas Europy Wschodniej. Wracamy do tego, co proponował Piłsudski

– Współcześnie Europa Atlantycka stała się przestarzała. Dziś nie obchodzi mnie, co myślą Francuzi. Dziś pytanie brzmi: czy Polska zdoła ustabilizować nową rzeczywistość i pełnić rolę lidera w swoim regionie? Tak sobie wyobrażałem waszą rolę kilkanaście lat temu – mówi dr George Friedman, geostrateg, autor słynnej książki „Następne 100 lat"

Agaton Koziński

Opłacało się Donaldowi Trumpowi rozpoczynać wojnę w Iranie? Sukcesu nie ma, a cena ropy ciągle idzie w górę.

Nawet jeśli przegramy w Iranie, nie będzie to naszą porażką. Trzeba pamiętać, że koszmarem Stanów Zjednoczonych nadal jest 11 września. Europejczycy nie rozumieją, jak głęboko tamte wydarzenia dotknęły nasz kraj. Dziś główną obawą w USA jest strach przed uderzeniem, które by miało groźniejsze konsekwencje niż atak z 2001 r. - przed nuklearnym 11 września. Nie chcemy, żeby do niego doszło. Wszyscy wiemy, że Iran pracuje nad bronią atomową. Uderzenie na ten kraj pozwoliło nam zapobiec takiej sytuacji.

Dokładnie tak samo miało być z Irakiem, gdy USA atakowały ten kraj w 2003 r. Bagdad też miał pracować nad bronią jądrową, biologiczną i chemiczną. Nic takiego nie miało miejsca – natomiast George W. Bush stracił całą wiarygodność, a władzę na dwie kadencje przejęli demokraci. Teraz wygląda na powtórkę.

Nie jestem o tym przekonany. W tym przypadku chodzi o stosunek prawdopodobieństwa do konsekwencji. Na początku zaczęło się od prób zniszczenia instalacji nuklearnych w Iranie. Nie udało się tego osiągnąć, zagrożenie ze strony Teheranu cały czas nad nami wisiało. W Europie nie ma zbyt silnego przekonania o zagrożeniu ze strony Iranu dysponującego bronią jądrową. Nawet w Stanach Zjednoczonych nie ma takiej obawy. Ale dla tych z nas, którzy przeżyli 11 września i byli blisko kwestii poruszanych w tym kontekście, był to najgorszy koszmar. Z tego powodu Trump musiał podjąć działania wobec Iranu. Trzeba było to zrobić. Ale też nie można obecnego konfliktu porównywać z irackim.

Wojna w Iranie wygląda na kolejną „niekończącą się wojnę", w której utkną USA. Trump obiecywał, że tego uniknie.

Te konflikty zasadniczo się różnią. Owszem, USA w Iranie popełniły błędy. Tuż przed rozpoczęciem wojny, w tym kraju miało miejsce powstanie obywateli. Panowało przekonanie, że jeśli uda nam się dopaść przywódców Iranu, to reżim rządzący tym krajem upadnie. Ale tak się nie stało. Zabicie najważniejszych przywódców irańskich, nie wywołało chaosu. To był fundamentalny błąd, który popełnił Trump. Ale mimo to nie można tego konfliktu porównywać z wojną w Iranie. Z prostej przyczyny: w obecnej wojnie zginęło bardzo niewielu Amerykanów. USA nie zdecydowały się wysłać tam wojsk, skupiają się na uderzeniach z lądu i morza. W Iraku było inaczej.

Wojna iracka i okupacja tego kraju oznaczała dla USA stratę 4500 ludzi.

Tymczasem teraz w wojnie w Iranie zginęło póki co 20 Amerykanów. To zasadnicza różnica. Stany Zjednoczone w ogóle nie zaangażowały sił lądowych w ten konflikt, i nie zamierzają tego robić. Straty byłyby zbyt duże.

Nawet niewielka operacja na wyspie Chark, gdzie przepompowuje się większość irańskiej ropy, jest według pana wykluczona?

Ona pewnie byłaby realna, ale przyniosłaby niewielkie efekty. Wojna w Iranie jest w USA mało popularna, właśnie dlatego, że przynosi bardzo mało ofiar. Do Dover nie przypływają trumny z amerykańskimi żołnierzami. Główną reakcją Irańczyków było zamknięcie portów – byli przekonani, że to zmusi Stany Zjednoczone do wycofania się, co jednak nie nastąpiło. Amerykanie zareagowali, tworząc porozumienie z Mekki, które objęło Turcję, Pakistan i Arabię Saudyjską.

Szybko zaczęto je nazywać „bliskowschodnim NATO".

Turcja i Arabia Saudyjska zawsze miały być – podobnie zresztą jak Polska – sojusznikami NATO. Porozumienie z Mekki to idealny sojusz. Widać to, gdy się spojrzy na mapę. Mówimy o trzech ogromnych krajach otaczających Iran. To nowy etap w historii Bliskiego Wschodu. Te trzy kraje połączyły siły, co sprawia, że mamy do czynienia z innym Bliskim Wschodem

Nie zmienia to faktu, że Trump nie zdołał złamać Iranu, a przez to traci swoją globalną wiarygodność. USA przestają być postrzegane jako lider świata.

Każdy amerykański prezydent tracił swoją globalną wiarygodność. Bez względu na to, kto zasiada w Białym Domu słyszę takie uwagi. Podobnie jest w przypadku Trumpa. W przypadku jego prezydentury obowiązuje kluczowa zasada: nie należy słuchać niczego, co on mówi. Trzeba natomiast patrzeć na to, co robi – i czego nie robi. Czego nie zrobił? Po pierwsze, nie wysłał sił lądowych przeciwko Iranowi. Po drugie, nie wpadł w panikę, gdy zerwano zawieszenie broni. Po trzecie, nie zaatakował, gdy Arabia Saudyjska została zablokowana na Morzu Czerwonym przez Huti. On nie chce angażować w takie akcje amerykańskich sił, zamiast tego przekonuje innych, żeby to oni podjęli działania. I tu jest zasadnicza różnica między tą wojną a konfliktem w Iraku, w który wplątaliśmy się zbyt głęboko.

Wojna w Iranie jest daleka od ukończenia. Nie da się dziś przewidzieć, jak się rozwinie.

Bardzo łatwo jest powiedzieć o Trumpie, że jest idiotą, że jest szaleńcem. Ale też widać, że bardzo dba o to, by ten konflikt nie wymknął się spod kontroli. Świadczy o tym choćby bardzo mała liczba Amerykanów, którzy w nim zginęli.

O cenach benzyny na stacjach nie da się już powiedzieć, że utrzymały się w ryzach.

Owszem, wywołaliśmy globalną recesję – choć Europa jest bardziej wrażliwa na wzrost cen na stacjach benzynowych niż USA. Natomiast my po stronie zysków mamy porozumienie z Mekki. Trzeba brać to pod uwagę. To jest metoda działania Trumpa. On zachowuje się jak idiota i przez to jest niedoceniany.

Inną konsekwencją wojny w Iranie będzie pewnie porażka Trump w listopadowych wyborach uzupełniających do Kongresu. Osłabi go to politycznie. Równolegle mamy Chiny, które nie robią nic, po prostu czekają, jak rozwinie się sytuacja. I dziś to one wydają się siłą stabilizującą świat, a nie Ameryka.

Nie, dziś Chiny znajdują się w desperackiej sytuacji. To druga co do wielkości gospodarka świata, ale pod względem dochodu PKB na mieszkańca zajmują 71. miejsce. Ich główny problem polega na tym, że nie są w stanie same skonsumować produktów, które wytwarzają. Ich największym odbiorcą są Stany Zjednoczone. Teraz zaczęliśmy podnosić cła na chińskie produkty. To dla Pekinu groźne, bo mogą stracić swój najważniejszy rynek zbytu. Dlatego Chińczycy muszą dojść do porozumienia z USA, oni nie zdołają ich sprzedać nigdzie indziej. Właśnie z tego powodu Pekin trzyma się z dala od konfliktu na Bliskim Wschodzie.

Ale jednocześnie regularnie używa wrogiej retoryki wobec Tajwanu.

Za kilka tygodni dojdzie do spotkania Trumpa z Xi Jinpingiem w Waszyngtonie. Kwestia Tajwanu musi zostać wtedy rozwiązana. I zostanie – bo dziś Chiny znajdują się pod ogromną presją ze strony USA. Naprawdę nie docenia się presji, pod jaką ten kraj się znalazł. Choćby w kwestii ropy naftowej – oni naprawdę potrzebują dostaw z krajów Zatoki Perskiej.

Ropa z Bliskiego Wschodu to niemal połowa chińskiego eksportu tego surowca.

I Pekin nie ma zbyt wielu opcji, by ten eksport zastąpić dostawami z innych regionów świata. To właśnie dlatego Chiny trzymają się z daleka od konfliktu w Iranie. Pekin tylko pozornie wygląda stabilnie. W tym kraju są ogromne problemy gospodarcze: bezrobocie, upadłości banków, korupcja. Tamtejsza gospodarka jest uzależniona od eksportu do USA. Tylko że teraz – z powodu ceł – ceny poszły w górę, więc sytuacja dla Chin stała się bardziej skomplikowana. Postawiliśmy ten kraj w bardzo trudnej sytuacji, choć nie chcemy go upokarzać.

Chiny jednak nie mają żadnych problemów ze wspieraniem Rosji walczącej z Ukrainą.

Zaproponowaliśmy Rosjanom układ: zakończcie wojnę na Ukrainie, a my w zamian zainwestujemy u was. Tyle że Rosjanie odrzucili tę propozycję.

Mówi pan o szczycie Putin-Trump w Anchorage?

Tak, o nim, ale też o wcześniejszych rozmowach telefonicznych. Zresztą Chinom też przedstawiliśmy propozycję. USA są gotowe ograniczyć swoją obecność wojskową w regionie, co powinno im odpowiadać. Gdy Trump był w Pekinie wraz z dyrektorami generalnymi firm technologicznych, wysłał sygnał, że nasze kraje nie muszą konkurować w dziedzinie sztucznej inteligencji, że możemy pracować nad jej rozwojem razem. Patrząc na to z dystansu, widać próby rozwiązania wielu problemów jednocześnie.

Podsekretarz wojny Elbridge Colby był niedawno w Brukseli przedstawiając wizję NATO 3.0 – sojuszu, w którym Europa bierze dużo większą część odpowiedzialności za bezpieczeństwo kontynentu niż teraz. Argumentuje, że USA muszą wycofać część sił z Europy, żeby je przenieść na Daleki Wschód. A pan z kolei mówi, że USA chcą ograniczyć swoje zaangażowanie w tym rejonie.

Colby zwyczajnie kłamie.

Ale przecież USA zmniejszają wojskową obecność w Europie.

No tak, zostało tutaj „zaledwie" 80 tys. żołnierzy. Właśnie pożyczyliśmy Polsce ogromną sumę pieniędzy na zakup sprzętu i przygotowujemy się do zbudowania u was bazy wojskowej.

Obietnica USA, która cały czas nie znajduje przełożenia na rzeczywistość.

W Polsce cały czas stacjonuje ok. 10 tys. żołnierzy amerykańskich. Gdyby Polska została zaatakowana, i choć jeden amerykański żołnierz zginął, to Amerykanie oszaleją. Teksas oszaleje. Cały kraj oszaleje. Pomysł, że Rosjanie odważyliby się zaatakować Polskę, mając świadomość, że stacjonują tam Amerykanie, brzmi niewiarygodnie. Oni nie są tak głupi, by się na to zdecydować.

eprasa.pl d72073f4ec

Cały czas jednak nie jest jasne, w jakiej formule wojska amerykańskie stacjonują u nas. Ciągle utrzymuje się ten rotacyjny tryb, czyli bardzo tymczasowy.

Ważniejsze dziś jest, jaką rolę obecnie Polska odgrywa. Dziś wasz kraj to wschodnia granica NATO – podobnie jak przed upadkiem muru berlińskiego taką rolę pełniło RFN. Teraz Niemcy takiej roli już nie odgrywają, dlatego nie ma powodu, by trzymać tam amerykańskie wojska. To bez sensu. Umieszczenie żołnierzy w Polsce jest bardziej przydatne.

Presja ze strony Rosji na kraje wschodniej flanki rośnie. Coraz więcej różnego rodzaju prowokacji ze strony tego kraju.

Nie możemy traktować Rosji poważnie jako potęgi militarnej. Przecież ona nie była w stanie zająć Ukrainy przez ponad cztery lata. To nie jest nawet potęga regionalna. Tylko Europejczycy wpadają w panikę.

Ta panika bierze się z prostego powodu. Może Rosja jest słaba, nie jest w stanie nic osiągnąć na Ukrainie. Ale Europa się boi, że jest jeszcze słabsza niż słaba Rosja.

UE ma drugą co do wielkości gospodarkę na świecie. Stwórzcie więc armię, która pozwoli wam przestać panikować. Problem w tym, że Europa Zachodnia ma z tym problem. Wyraźnie widać, że jest przestarzała. Dawniej była w stanie zbudować swoje imperium na całym świecie, ale ostatecznie przegrała. Teraz nadszedł czas Europy Wschodniej. To najbardziej dynamiczny region Europy. W innych krajach zmiany zachodzą bardzo powoli, ale kiedy przyjeżdżam do Polski, widzę zupełnie inne miejsce. A Stany Zjednoczone są gotowe wysłać tutaj swoje wojska.

Jak to zmienia dynamikę polityczną?

Wracamy do Piłsudskiego. On rozumiał różnicę między Europą Zachodnią a Europą Wschodnią – i dlatego sto lat temu wysunął ideę Międzymorza. Ono nie miało być jednym państwem, tylko systemem sojuszy z własnymi siłami zbrojnymi i wszystkim innym, co jest konieczne. Dziś właśnie potrzebne jest myślenia w takich kategoriach. Współcześnie Europa Atlantycka stała się przestarzała. Dziś nie obchodzi mnie, co myślą Francuzi. Dziś pytanie brzmi: czy Polska zdoła ustabilizować nową rzeczywistość i delikatnie pełnić rolę lidera w swoim regionie? Naprawdę zależy mi na tym, co myślą Polacy, bo tak sobie wyobrażałem waszą rolę kilkanaście lat temu.

Pisał pan o wzroście znaczenia Polski jako lidera Europy Środkowej w swojej książce „Następne 100 lat" z 2009 r.

I teraz bardzo się cieszę, że postawiłem w niej prawidłowe prognozy. Ale też pojawiają się nowe zagrożenia. Choćby wzrost znaczenia Turcji, która powoli staje się potęgą. Ten kraj spogląda w wielu kierunkach, także na północ. Dla krajów Europy Wschodniej stanie się to wyzwaniem.

Skoro nawiązał pan do swojej książki. Przewidywał pan w niej, że około 2020 r. Rosja wygeneruje duży kryzys geopolityczny – ale okaże się on jej porażką, która w konsekwencji doprowadzi do rozpadu tego kraju. Mamy rok 2026 i trwa kryzys geopolityczny, ale Rosja trzyma się mocno.

Bez przesady. Kreml już stracił Azję Wschodnią, Kaukaz Południowy, Europę Zachodnią i Europę Wschodnią, nad którą przecież sprawował kontrolę.

Doszło do tego w latach 90. Od tamtej pory sytuacja nie ulega zmianie.

Ale też nie udało im się tych terenów, mimo prób, ponownie zjednoczyć. Jeśli więc przyjrzymy się obecnej sytuacji Rosji, sposobowi, w jaki radzi sobie na Ukrainie, to widać, że nie stanowi ona dla nas problemu. To nie jest także problem dla Polski. Może gdyby Rosjanie zdołali zająć Ukrainę, to mogliby spróbować jakiejś akcji przeciwko wam. Ale nic takiego się nie dzieje. Sam jestem ciekawy, czy Putin zdoła to przetrwać.

Rosja słabnie. Wcześniej pan zauważył, że Trump przedstawił jej propozycję, którą Putin jednak odrzucił. Dlaczego tak zrobił? Dlatego brnie piąty rok w wojnę, która go mnóstwo kosztuje i której nie jest w stanie wygrać?

Putin zawsze podkreślał, że żałuje rozpadu Związku Radzieckiego – i że musiał wkroczyć na Ukrainę, bo północna granica tego kraju znajduje się 500 km od Moskwy, a jakby ten kraj stał się częścią NATO, to Rosja byłaby skończona. To są powody, dla których zaatakował Ukrainę. Jako dobry funkcjonariusz KGB, przywódca Rosji musiał wręcz to zrobić. Natomiast wyraźnie nie przewidział, jak słaba była jego armia. Ukraińcy okazali się znacznie bardziej sprytni i zdolni. Wiedzieli, jak wykorzystywać informacje z satelitów. Podczas gdy rosyjskie dowództwo nigdy nie pokazywało informacji satelitarnych niższym rangą żołnierzom, po stronie ukraińskiej z tych informacji korzystali nawet sierżanci. To właśnie dlatego Putin poniósł porażkę na Ukrainie. Wyraźnie też nie może się z tym pogodzić. Gdyby przyznał, że nie zdołał zdobyć Ukrainy, przestałby być uważany nawet za potęgą regionalną, a przecież jest rosyjskim patriotą. Patrząc pod tym kątem, rezygnacja z Ukrainy byłaby niezgodna z rosyjskim interesem narodowym. Rosja zostałaby postrzegana jako słaba. Koszt w postaci utraty wiarygodności byłby ogromny.

Putinowi może chodzić po głowie plan ucieczki do przodu, na przykład poprzez poważne prowokacje NATO, choćby przez atak na Łotwę. Jak duże jest takie ryzyko?

Nie można tego wykluczyć, on może chcieć przestraszyć Europę, sprawdzić ją. Największym sprawdzianem byłaby dla niego Polska. Choć widać, że już teraz chce wywołać u was panikę, ale wy nie panikujecie.

Pytanie, jak w takiej sytuacji zareagowałyby inne kraje Europy. Czy znowu byśmy usłyszeli – jak w 1939 r. – że nikt nie chce umierać za Gdańsk.

Proszę pamiętać, że w krajach wschodniej flanki, także bałtyckich, zostali rozmieszczeni żołnierze USA. Putin nie jest na tyle szalony, by się zdecydować na starcie z amerykańskim batalionem i wygranie go. Bo jeśli zginą żołnierze amerykańscy, to wtedy wkroczymy z pełną siłą. To mogę obiecać. My też nie jesteśmy do końca normalni. Najbezpieczniejszym rozwiązaniem dla Amerykanów jest utrzymywanie tam sił, które nie stanowią zagrożenia dla Rosji, ale uniemożliwiają jej działanie.

Z drugiej strony na takim konflikcie mogłoby zależeć Chinom. Z perspektywy Xi byłaby to idealna wojna zastępcza.

Tyle że jakby do tego doszło, chińska gospodarka ległaby w gruzach. Gdyby Waszyngton się dowiedział, że Putin działa na polecenie Xi, to Chińczycy straciliby dostęp do rynku amerykańskiego. To oznacza ogromne problemy Chin, wzrost bezrobocia. Xi się na to nie zdecyduje. Generalnie co jakiś czas słyszymy, że Chiny zrobią to czy tamto – a potem nic takiego się nie dzieje. Naprawdę wszyscy przeceniamy Chiny. Poziom życia w tym kraju jest ciągle bardzo niski. To sprawia, że nie mają więc zbyt dużego pola manewru. Rosjanie też nie. Stany Zjednoczone mogą sobie w tej chwili pozwolić na niedbałość, ponieważ główni gracze są w dużym stopniu sparaliżowani. Natomiast ja w pierwszej kolejności patrzę na Europę Wschodnią. Należy zapomnieć o NATO, o Francuzach, o Niemcach. Patrzę przede wszystkim na najbardziej dynamiczny region Europy.

Jak wynika z raportu „Czas Trójmorza" przygotowanego przez Instytut Sobieskiego, PKB per capita państw należących do Trójmorza rosło w latach 2016–2025 dwa razy szybciej niż w Niemczech.

Kraje regionu powinny uciekać od Europy atlantyckiej. Nie da się z nimi współpracować, tym bardziej traktować ich jako przewodników. W ramach UE kraje Europy Wschodniej są ogonem, którym merda pies – Europa Zachodnia. Dziś najważniejsza jest tak naprawdę kwestia psychologiczna. Kraje Europy Wschodniej ciągle uważają, że nie są w stanie nic same osiągnąć. To jest główna bariera.

Nie tylko. Owszem, dynamika regionu jest duża, ale jednocześnie mamy płytkie kieszenie. To jedna z głównych blokad regionu – a także źródło tych psychologicznych barier, o których pan mówi.

Kraje Europy atlantyckiej mają mnóstwo pieniędzy. I co z tego? Spójrzmy na źródła działań politycznych. Te najważniejsze wynikają z determinacji, a nie z kalkulacji. Właśnie tej determinacji brakuje dziś Europejczykom, natomiast widać ją w Europie Wschodniej. Właśnie dlatego uważam, że ten region ma ogromny potencjał, zwłaszcza jeśli pojawi się w nim kraj-lider.

Kraje Międzymorza dziś muszą przede wszystkim borykać się z agresywną Rosją.

Rosja myśli inaczej. Putin to człowiek z KGB, który nie potrafi sobie wyobrazić, co oznaczają inwestycje. Ale tym też nie trzeba się przejmować. W końcu Rosjanie zajmą się nim - tak jak wcześniej zajmowali się innymi swoimi przywódcami, którzy ich rozczarowali.

FOT. PAP/EPA/ABEDIN TAHERKENAREH

Friedman: Wszyscy wiemy, że Iran pracuje nad bronią atomową. Uderzenie na ten kraj pozwoliło nam zapobiec takiej sytuacji (na zdjęciu: wielki plakat w Iranie z napisem „Armia diabła zginie w Zatoce Perskiej")

FOT. GEOPOLITICAL FUTURES

Dr George Friedman

Twórca i dyrektor ośrodka Geopolitical Futures. Specjalizuje się w geopolityce oraz prognozach politycznych. Współtwórca ośrodka Stratfor. Autor książek „Następne 100 lat. Prognoza na XXI wiek", „Następna dekada"

eprasa.pl d72073f4ec

BIZNES

Koniec ekologicznego, budowlanego biznesu w Ostaszewie. Dlaczego nie udało się zawojować świata?

Zakład MOD21 w Ostaszewie pod Toruniem otwarto pod koniec 2022 r. Już w sierpniu 2026 r. ogłoszono likwidację tego nowoczesnego, budowlanego biznesu. Co poszło nie tak?

Małgorzata Oberlan

MOD21 miał być ultranowoczesną fabryką, stawiającą na przyszłościowy i ekologiczny kierunek biznesu: produkcję drewnianych modułów do budownictwa. Takich, z których szybko i czysto stawiać można żłobki, hotele, dworce, mieszkania socjalne i nie tylko.

Zakład zbudowano w zaledwie 12 miesięcy w Ostaszewie (gmina Łysomice pod Toruniem), Był kolejną już częścią wielkiego imperium - grupy budowlanej Erbud z Torunia. To spółka giełdowa, zatem dochowując procedur i terminów musiała ona w sierpniu opublikować komunikat, w którym zapowiedziała likwidację MOD21.

- Się szykowało. Było do przewidzenia. „Góra" oczywiście wiedziała szybciej, ale nic nie powiedziała - tak komentuje dziś sytuację część pracowników. Wielu jest rozżalonych, choć niektórzy już w maju i czerwcu br. sygnalizowali, że „coś się dzieje". Zostały po ich domysłach wpisy na Goworku.

Innowacja i ekscytacja

„Jesteśmy start-upem, który zawojuje świat. Skąd ta pewność? Dziś ekologia nie jest trendem, ale jedyną drogą. Będziemy nią podążać, oferując naszym klientom nowoczesne obiekty modułowe z drewna. Stoi za nami Grupa Erbud – największa niezależna grupa budowlana w Polsce, zatrudniająca prawie 3 tysiące pracowników, istniejąca 30 lat, notowana na GPW. To duży gracz, dający nam olbrzymie wsparcie i doświadczenie na rynkach międzynarodowych" - ogłosił nowy zakład w listopadzie 2022 roku.

Zamówienia i pierwszy, podstawowy rynek zbytu miał być w Niemczech. W drugiej kolejności - w Polsce. Mieszkańców okolic cieszyła wizja rozwoju zakładu, bo oznaczała przybywanie miejsc pracy. W pierwszym etapie zapowiadano zatrudnienie 150 osób, a w kolejnym 300. Tyle ludzi liczyć miała załoga MOD21 w 2026 roku.

- Oferujemy możliwość pracy w bardzo nowoczesnym zakładzie produkcyjnym, spółce, która myśli ekologicznie i szuka innowacyjnych rozwiązań. Zaletą jest również możliwość uczestniczenia w projekcie, który powstaje od samiutkiego zera. Mamy oczywiście topowych menedżerów z wieloletnim doświadczeniem; mamy doskonałe zaplecze potężnego Erbudu z ponad 30-letnią historią, ale jednak to cała załoga wspólnie pracować będzie nad idealnymi rozwiązaniami i wspólnie przecierać szlaki. Myślę, że dla wielu osób taka „start-upowość" jest ekscytująca - podkreślał prezes MOD21 Theodor Kaczmarczyk w 2022 roku.

Już sama rekrutacja do pracy tutaj była wyjątkowa. Po menagmencie szukano elektryków i innych fachowców, a także pracowników linii produkcyjnej. Po wstępnej selekcji zapraszano na rozmowy do zakładu, gdzie nawet „zwykłym" kandydatom do pracy pokazywano zakład, zaznajamiano z przyszłym szefem. Młode talenty wyłapywano... w grze komputerowej!

29 listopada 2022 roku fabrykę otwarto. I to z jaką pompą! Start MOD21 celebrowano wśród tysiąca zaproszonych gości, z Polski i Niemiec. Wchodzili do fabryki tunelem imitującym las, a w środku mogli zanurzyć się w wirtualnej rzeczywistości, wybrać się do kina rowerowego, ułożyć gigantyczną jengę albo kostkę rubika. A także - zobaczyć, jak wygląda budynek stworzony z modułów drewnianych czy poznać od podszewki proces produkcji w fabryce MOD21.Powiało nowoczesnością...

Miało pracować 300 osób

Plany były ambitne. Spółka zapowiadała na starcie nowego zakładu produkcję 30 tys. mkw. pow. całkowitej modułów w pierwszym roku działalności i około 240 mln zł przychodów. Deklarowana wydajność niemal w pełni zautomatyzowanej linii wynosiła do 375 mkw. modułów dziennie. Zgodnie z zapowiedziami , głównym rynkiem zbytu miały być Niemcy. W 2022 r. w MOD21 pracowało 70 osób. Ale plan zakładał zwiększenie zatrudnienia do 150 pracowników do końca 2023 r. i do 300 w 2026 r. Plany te nie zostały zrealizowane, bo obecnie w ostaszewskim zakładzie pracuje ok. 135 osób.

Gdzie te podwyżki?

Kiedy ten entuzjazm i ekscytacja zaczęły mijać? U właściciela fabryki i wśród zarządzających zapewne wtedy, gdy okazywało się, że biznes nie jest strzałem w dziesiątkę. - Erbud po prostu przez ostatnie lata dokładał do tego biznesu i stracił nadzieję na poprawę koniunktury. Sektor budownictwa modułowego nie rozwinął się tak, jak przewidywaliśmy. Poszczególne rządy też już nie przykładały do niego takiej wagi; nie wspierały - słyszymy dziś od człowieka na kierowniczym stanowisku w zakładzie. Słowa padają w sierpniu br., przy okazji zapowiedzi wygaszania zakładu. A zatem - nawet nie pełne cztery lata od jego uruchomienia. Skoro „przez ostatnie lata" Erbud dokładał, to czy fabryka kiedykolwiek była na wyraźnym plusie?

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Produkcja przez MOD21 drewnianych modułów do budownictwa nie przetrwała nawet pełnych 4 lat

U przynajmniej części pracowników entuzjazm zaczął opadać, gdy warunki pracy nie okazały się tak świetne, jak liczyli. Rok 2026 oznaczał już rozgoryczenie choćby przy produjcji. - Zarówno na linii produkcyjnej, jak i na scalaniu jest bardzo dużo pracy, a pracowników ciągle brakuje. Od ludzi wymaga się coraz więcej, jest ciągłe poganianie i nadmierna kontrola. Kolejnym problemem są podwyżki. Pracownicy od dłuższego czasu słyszą, że temat zostanie rozpatrzony w następnym kwartale, jednak termin jest ciągle przekładany, a obiecanych podwyżek nadal nie ma. Firma dużo wymaga od pracowników, ale nie idzie za tym odpowiednie wynagrodzenie ani docenienie ich pracy - skarżył się w czerwcu br. były już pracownik MOD21 (na Goworku).

Frustracja, presja, wyśrubowane normy - na to narzekali też inni z produkcji.

Nie pomógł pomysł z modułowymi ośrodkami dla uchodźców

Trudno zarzucić menagmentowi fabryki i Erbudu brak inicjatywy. Swoimi modułami MOD21 starał się zainteresować nie tylko niemieckiego, ale i polskiego klienta. Zlecenia były i są jeszcze (trzeba je dokończyć), ale lukratywnego biznesu z tego nie ma.

„Wyjściem do przodu" miało być też wyczucie wyzwań zachodniego świata. Stąd oferta specjalna i perspektywiczna: modułowe ośrodki dla uchodźców i takież schroniska dla cudzoziemców.

„W obliczu kryzysów migracyjnych, które dotykają Europę i inne regiony świata, coraz większe znaczenie zyskuje modułowe zakwaterowanie dla uchodźców. To innowacyjne podejście do tworzenia bezpiecznej i funkcjonalnej przestrzeni, które wyróżnia się szybkością realizacji, elastycznością oraz zastosowaniem ekologicznych materiałów budowlanych. Dzięki temu możliwe jest nie tylko szybkie reagowanie na potrzeby społeczne, lecz także długoterminowe wykorzystanie obiektów" - ogłosiła fabryka MOD21. Za przykłady sprawdzania się takich właśnie rozwiązań podawała choćby dwa rozwiązania niemieckie. Ale i to „wyjście do przodu" sukcesu nie oznaczało.

Anatomia porażki

Komunikat o końcu MOD21 pojawił się 26 sierpnia 2026 r. „Zarząd ERBUD S.A. zdecydował o zaprzestaniu działalności w segmencie budownictwa modułowego, czyli w spółkach MOD21 z fabryką w Ostaszewie pod Toruniem" - brzmiał przekaz. Dalej mowa była m.in. o planie zbycia aktywów - zarówno spółki MOD21, jak i jej niemieckiego brata - MOD21 GmbH. „Brak rentowności oraz brak przesłanek poprawy wyników w przewidywalnej przyszłości" - takie powody główne decyzji podano. Ale wymieniono także inne.

Biznes modułowy był odpowiedzią na trend dążenia do zeroemisyjności budynków w Europie zachodniej, głównie na rynku niemieckim. Zrealizowano tam ponad 21 projektów, w tym m.in. serię żłobków czy zakwaterowania dla osób w kryzysie uchodźczym. W świetle zapowiadanych dużych inwestycji z funduszu Krajowego Planu Odbudowy rozpoczęto kontraktację także w Polsce: na tym rynku MOD21 wykonał lub wykonuje 7 projektów.

- Tworząc ten start-up byliśmy w innych realiach. Regulacje środowiskowe, rozwój ESG i przede wszystkim obietnica dopłat czy ulg podatkowych do technologii modułowej w Niemczech, który miał być głównym rynkiem zbytu MOD21, straciły znaczenie w dniu wybuchu wojny w Ukrainie. Gospodarka naszych zachodnich sąsiadów popadała jednoczenie w recesję. Przestawienie kierunku na rynek Polski niestety nie było wystarczające, by wypracować zakładane cele - nie krył Dariusz Grzeszczak, prezes i założyciel Grupy Erbud.

Jak zwolnić ludzi „po ludzku"?

Tak, jak MOD21 w sposób nowoczesny rekrutował do pracy, tak i chce teraz żegnać się z pracownikami. Stopniowe wygaszenie MOD21 oznaczać będzie docelowo zarówno zamknięcie fabryki obiektów w Ostaszewie, jak i redukcję zatrudnienia. Ale pracownicy objęci zostaną kompleksowym programem outplacementowym, części z nich zostanie zaproponowany transfer do innych spółek z grupy Erbud, która jest jednym z większych pracodawców w regionie Kujaw i Pomorza.

- Jako grupa Erbud zatrudniamy w regionie 900 osób, w różnych spółkach i miejscach. W pierwszej kolejności zatem pracownikom proponowane będzie zatrudnienie w innym zakładzie, innej spółki. Nie wykluczamy też takiego scenariusza, że ktoś będzie chciał przejąć od nas tę fabrykę wraz z produkcją i załogą - mówi Marcin Kasprzak, dyrektor marketingu i PR w Erbud S.A.

Grupa Erbud przez 36 lat działalności nie przeprowadziła żadnego zwolnienia grupowego. Teraz chce stanąć na wysokości zadania i zadbać o ludzi. Czas pokaże, czy to się uda.©℗

eprasa.pl d72073f4ec

SPOŁECZEŃSTWO

Bydgoszcz i Toruń w jednym ogrodzie? Działkowcy już teraz ostrzą szpadle

Bydgoszcz czy Toruń? Toruń czy Bydgoszcz? Działkowcy nie chcą połączenia okręgów Bydgoskiego i Toruńsko-Włocławskiego PZD w jeden - Kujawsko-Pomorski. Cicha wojenka toczy się też o nową siedzibę, bo jak wieść niesie „Bydgoszcz przegra, jak zawsze, a my nie chcemy do Torunia". Decyzji jeszcze nie ma, ale strach już zajrzał do ROD-ów

Agnieszka Domka-Rybka

- Skok na nasze pieniądze - tak plan połączenia Okręgu Bydgoskiego z Toruńsko-Włocławskim i stworzenie jednego Kujawsko-Pomorskiego Okręgu Polskiego Związku Działkowców komentuje pan Władek, mężczyzna 70 plus. Od wielu lat korzysta ze swojej działeczki ROD na osiedlu w Bydgoszczy. Choć decyzja w tej sprawie jeszcze nie została ogłoszona, to działkowcy, z którymi rozmawiałam, są przekonani, że „klamka już zapadła".

- Polski Związek Działkowców twierdzi, że w tej sprawie odbyły się konsultacje. Ciekawe, bo ja o nich nic nie słyszałam - dziwi się pani Monika, prezeska jednego z bydgoskich Rodzinnych Ogrodów Działkowych (prawdziwe imię i nazwisko znane redakcji). - Nie było żadnych konsultacji, o których mówi Warszawa. Wie pani, to wszystko odbywa się za naszymi plecami. Nie ma żadnych informacji, dlatego wśród działkowców jest uzasadniony niepokój. Nie wiedzą, czego mogą się spodziewać.

FOT. ARCHIWUM/POLSKA PRESS

W Bydgoszczy jest 200 Rodzinnych Ogrodów Działkowych, w Toruniu i Włocławku - 193. Wśród działkowców aż huczy od plotek, że siedziba regionalnego okręgu będzie w grodzie Kopernika

Odejdą z PZD i będą zakładać stowarzyszenia?

Pan Władek uważa, że jak nie wiadomo, o co chodzi, to zawsze chodzi o pieniądze: - Jako okręg dobrze stoimy finansowo, a czy tak samo jest w Toruniu i Włocławku? Nie wiem. Jak to będzie teraz wyglądać, nasze pieniądze z 200 ROD-ów, zamiast zostawać w Bydgoszczy, trafią do Torunia?

Wśród działkowców aż huczy od plotek, gdzie będzie siedziba Kujawsko-Pomorskiego PZD.

Zgadnie pani? Na pewno nie w Bydgoszczy, a w Toruniu. Bydgoszcz, jak zwykle, zostanie pominięta i, jak we wszystkim, przegra z Toruniem. Moi działkowcy twierdzą, że ktoś z Okręgu Toruńsko-Włocławskiego PZD ma duże chody w Warszawie i tak to sobie uknuli. Nie przekonuje mnie tłumaczenie, że tamten okręg ma swoją siedzibę (przy ulicy Lubickiej w Toruniu - przyp. red.), a bydgoski tylko wynajmuje pomieszczenia w biurowcu przy ulicy Piotrowskiego. Jak trzeba będzie, na pewno coś się znajdzie w naszych zasobach - przekonuje pani Monika.

Twierdzi, że okręg bydgoski od lat toczy cichą wojenkę z toruńskim, ale nie chce w to głębiej wchodzić.

- Niech się kłócą tam na górze, ale mnie martwi, że działkowcy bardzo przeżywają obecną sytuację. Oczywiście, są i tacy, którzy w ogóle nie interesują się tematem, ale jak przyjdą na zebranie, to również przeżyją szok. Bo czy teraz z każdą drobnostką będą musieli jechać do Torunia? Nieraz słyszę, że ludzie chcą wyjść ze struktur PZD. A jak przyłączą nasz okręg do Torunia, tylko na gadaniu może się nie skończyć. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby działkowcy rezygnowali z PZD i zakładali własne stowarzyszenia. Zresztą, kilka takich działa w Bydgoszczy i mają się całkiem nieźle. Też mnie się marzy takie stowarzyszenie. Jak ludzie wezmą sprawy w swoje ręce, to się dopiero zadzieje. A zapewniam, że wiele osób prężnie działa w ROD-ach i nie boją się wyzwań - uważa prezeska.

- Nie ma się czego bać, bo żadna decyzja w tej sprawie jeszcze nie zapadła, w każdym razie ja nic konkretnego nie wiem - zaznacza na samym początku Marian Bień, wiceprezes Okręgu Bydgoskiego Polskiego Związku Działkowców.

Zdaniem wiceprezesa sytuacja wygląda następująco: - O tym, że będzie reforma struktur PZD, wiadomo było od grudnia 2024 roku, określił to krajowy zjazd PZD. Na tej podstawie zarząd i rada związku podejmują teraz dalsze decyzje. Zapadły one już w sprawie kilku mniejszych okręgów, jak Słupsk, Częstochowa i Elbląg. Zostały wchłonięte przez większe jednostki w swoich regionach. Natomiast u nas będą zniesione okręgi bydgoski i toruńsko-włocławski, a w ich miejsce powstanie jeden - kujawsko-pomorski. To samo czeka Zieloną Górę i Gorzów Wielkopolski.

Dobre porównanie, bo rywalizacja tych miast bardzo przypomina naszą - bydgosko-toruńską.

Dociekam więc: - Gdzie ma być siedziba okręgu regionalnego, w Bydgoszczy czy Toruniu?

- Wolałbym w Bydgoszczy, ale, powtarzam, nie ma jeszcze żadnych decyzji - mówi Marian Bień.

Ma świadomość, że w tej sprawie pojawiło się w ostatnim czasie wiele niejasności: - Nie ma powodów do niepokoju, ponieważ dla działkowców nic się nie zmieni. Uspokoję, że nawet jeśli siedzibą zostałby Toruń, w Bydgoszczy powstałoby biuro terenowe, mamy przecież aż 200 ROD-ów! I tutaj nadal załatwialiby wszystkie swoje sprawy. Bez jeżdżenia do Torunia, jak twierdzą niektórzy. Tyle tylko, że formalnie nie w okręgu, a rejonie. Nic nie grozi także naszym pracownikom, ich etaty są chronione. Inna sprawa, jeśli sami będą chcieli odejść.

Wiceprezes, jeszcze okręgu, zdradza jednak, że jemu się ta reforma nie podoba: - Pisaliśmy do Warszawy, że nie za bardzo jej chcemy - podsumowuje.

Zdecydowanie bardziej tajemniczy jest Piotr Gadzikowski, toruńsko-włocławski prezes okręgowy: - Ale przecież jeszcze nic nie wiadomo, na razie trwa analityczna weryfikacja danych finansowych. Toruń czy Bydgoszcz? Nie mam pojęcia. U nas jest prawie tyle samo ROD-ów, co w Bydgoszczy, 193. Oba okręgi są w podobnej, dobrej sytuacji finansowej. Włocławek połączono z Toruniem w 2002 roku. Powiem pani tak, „strach ma duże oczy" i jeszcze jedno: czy to będzie prezes okręgu czy rejonu, wyjdzie na to samo. Dla ludzi nic się nie zmieni.

O plany połączenia naszych okręgów zapytaliśmy także w Polskim Związku Działkowców, ale - do ukazania się tego artykułu - nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

Zmiany w strukturach to teraz nie jest jedyny problem działkowców, ponieważ „wiszą nad nimi" jeszcze wysokie opłaty za użytkowanie wieczyste gruntów, na których stoją ich ogródki.

Samorządy znalazły myk na dodatkowy zarobek

Możliwość nieodpłatnego oddawania PZD gruntów w użytkowanie wieczyste przewiduje ustawa z 1995 roku o pracowniczych ogrodach działkowych. Jednak z czasem pojawiły się w niej zapisy o możliwości wprowadzenia opłat do 3 procent wartości gruntu.

I do tej pory gminy nie domagały się żadnych pieniędzy. Jednak teraz wybrane samorządy, m.in. w Kujawsko-Pomorskiem, znalazły nowy sposób na zwiększenie dochodów właśnie przez wprowadzenie opłat za użytkowanie wieczyste. Chcą nimi obciążyć działki ROD.

O jakich kosztach mówimy?

Gdy roczna stawka dla jednego ogrodu działkowego wyniesie z tego tytułu kilkaset tysięcy złotych rocznie (miejskie grunty są bardzo drogie) to w przeliczeniu na jednego działkowca, wyjdzie, zależnie od lokalizacji, od 800 do 1200 złotych. A przecież są też inne wydatki, jak np. składki do PZD, prąd, woda, ścieki.

Działkowcy tłumaczą, że wcale nie chcą uniknąć opłat, ale 3 procent jest dla nich nie do przyjęcia, proponują 0,1 procent. W przeciwnym razie emeryci i renciści zaczną porzucać działki, ponieważ nie będzie ich stać, żeby je utrzymać.

Aktualnie PZD zbiera podpisy na petycji przeciw wyższym opłatom za ROD-y .

- Zostaliśmy potraktowani jak przedsiębiorcy , a nie prowadzimy w ROD-ach działalności biznesowej, nie zarabiamy na nich - podkreśla Marian Bień. - Rozumiem, ktoś ma działalność gospodarczą i czerpie z niej zyski, to niech sobie płaci 3 procent, ale emeryci i renciści z ogródków działkowych? Uczestniczyłem niedawno na spotkaniu pod Warszawą z okazji Dnia Działkowca. Byli tam również posłowie i senatorowie, którzy obiecali, że „po trupach", ale nie dadzą samorządom wprowadzić tej opłaty. Oby dotrzymali słowa.©℗

eprasa.pl d72073f4ec

PRAWO I OBYCZAJE

FOT. ADAM WILLMA

Pan Andrzej nie może się pogodzić z tym, jak sąd podzielił majątek należący do niegi i jego byłej żony

Sąd podzielił majątek. Dla żony dom, dla męża ziemia i ruiny

Po 14 latach rozwodowego sporu Andrzej Szczęsny dostał prawie cztery hektary ziemi i ruiny zabudowań. Zdążył przywyknąć do życia bez prądu

Adam Willma

- Tu kiedyś były maszyny, a tu było biuro. Kupę lat nikt tego nie używał - Szczęsny pokazuje pomieszczenie, do którego przeniósł się po opuszczeniu domu.

- Dlaczego zamieszkał pan w takich warunkach?

- A gdzie miałem mieszkać?

Z luksusów pozostała mu woda. Do ogrzewania służy koza, ale zimą temperatura spada do 10 stopni. Prądu nie ma, a koszt doprowadzenia linii jest taki, że na razie może sobie o nim tylko pomarzyć. Telefon ładuje więc u znajomego. Radio i lampka działają na baterie.

Szczęsny wyciąga zdjęcia. Na jednym wersalka, którą wyrzucili przez balkon. Na kolejnych silniki i narzędzia:

- Te wszystkie rzeczy mi ukradli. Nawet kura zniknęła.

Akta sądowe, postanowienia prokuratury i odpowiedzi urzędów układają się w wielki stos.

Od zera

- Prowadziłem gospodarstwo rolne po rodzicach - opowiada Andrzej Szczęsny. – Dostałem je w darowiźnie w 1982 roku. Niespełna pięć hektarów, parterowy dom, budynki gospodarcze, garaże i stodołę.

Ojciec Andrzeja, Edward Szczęsny, był ogrodnikiem i magistrem ekonomii. Pozostały po nim piękne przedwojenne dyplomy. Zaczynał na pustej działce. Najpierw mieszkał w prowizorycznym drewnianym budynku. Później postawił dom i oborę.

- Zaczynał od zera – mówi Szczęsny. - Sam budował dom w Cieślinie, wszystko robił według podręczników.

Rodzinna historia gospodarstwa jest jednak bardziej skomplikowana niż zapisy w księdze wieczystej. Ważne miejsce zajmuje w niej Apolonia Hirsch, bezdzietna ciotka Andrzeja, która przez lata mieszkała w Niemczech.

W czasie wojny Apolonia trafiła do pracy przymusowej w Niemczech. Los jednak płata figle i rozkochała w sobie dużego niemieckiego przedsiębiorcę. Po jego śmierci kobieta zapragnęła jednak wrócić do Polski. Przez lata przysyłała rodzinie w Polsce pieniądze na wykończenie nowego, wygodnego domu.

Gdy dom był wykończony, Apolonia wróciła do Cieślina. Przywiozła ze sobą piękne zabytkowe meble. Tak, jak chciała, zmarła i została pochowana na rodzinnej ziemi.

Skarpetkowe marzenia

Andrzej ożenił się w 1993. Dziewięć miesięcy później małżonkowie stanęli przed notariuszem. Podpisali umowę rozszerzającą wspólność majątkową także na to, co każde z nich posiadało przed ślubem. Rodzinna nieruchomość Andrzeja również została objęta wspólnością majątkową małżonków.

Dawny warsztat, który dziś stał się jego mieszkaniem, powstał z myślą o firmie włókienniczej żony. Stały w nim trzy maszyny produkujące skarpety.

- Te maszyny kupiłem za spadek po ciotce Apolonii. Wówczas 1769 marek niemieckich to była spora kwota. Żona chciała produkować, ale pojęcia o handlu większego nie miała. Działalność przetrwała trzy lata. Potem maszyny trzeba było sprzedać. Trafiły na Ukrainę.

Z niewielkiego zakładu pozostały tylko lampy. Bezużyteczne, bo na działce nie ma dziś prądu. W miejscu, w którym produkowano skarpety, stoi dziś jego koza ogrzewająca pomieszczenie.

FOT. ADAM WILLMA

Rolnik żyje bez prądu. Twierdzi, że nie jest w stanie zapłacić za doprowadzenie linii do jego zabudowań

Wspólny dach

Małżeństwo rozpadło się. W 2008 roku sąd ustanowił rozdzielność majątkową. Rozwód orzeczono w marcu 2010 roku z winy obojga. Byli małżonkowie nadal mieszkali pod jednym dachem, sąd przydzielił im pokoje. Kuchnia, łazienka i garaż pozostały wspólne.

Szczęsny twierdzi, że w następnych latach był systematycznie nękany przez byłą rodzinę. Oskarża ich o zabieranie przedmiotów, wymontowywanie silników, zrywanie kabli i wybijanie okien. - Przez uszkodzone okna zamarzły nawet ziemniaki, które tu przechowywałem. Na każdym kroku mi dokuczali. Wersalkę wyrzucili przez balkon, fotele też. Nawet radio uszkodzili.

Policja i prokuratura nie dopatrzyły się naruszeń prawa.

Czternaście lat podziałów

Wniosek o podział majątku wpłynął do sądu w 2009 roku. Prawomocny finał nastąpił dopiero 14 lat później. Żona Szczęsnego argumentowała podczas procesu, że na równi z mężem pracowała w gospodarstwie, do tego zajmowała się domem, wniosła wyposażenie oraz książeczkę mieszkaniową, a jej rodzice pomagali przy budowie.

Przedmiotem wyceny biegłych była ziemia, dom i zabudowania. Zużycie magazynu oszacowano na 60 proc., a mniejszego budynku na 65 proc. Jego przystosowanie do funkcji samodzielnego mieszkania biegły uznał za ekonomicznie nieuzasadnione. Stodoła groziła katastrofą budowlaną. Nawet wychodek kwalifikował się do rozbiórki.

Tylko jeden budynek w całym gospodarstwie w pełni nadawał się do zamieszkania - dom o powierzchni ponad 200 metrów kwadratowych.

Teoretycznie się zgadza

Sąd podzielił nieruchomość na dwie części. Urszula dostała 1-hektarową działkę wraz z domem. Jej wartość oszacowano na 333 tys. Andrzejowi przypadło 3,9 hektara oraz budynki gospodarcze. W wyliczeniach sądowych wartość tej części wyniosła 332 tys. Grunt przylega do drogi wojewódzkiej, ale nie ma urządzonego wjazdu. Sąd ustanowił więc przejazd przez działkę byłej żony, kosztami obciążając mężczyznę. Rozważał również możliwość utworzenia w domu dwóch samodzielnych lokali. Uznał jednak, że z powodu wieloletniego konfliktu taki podział nie zakończyłby sporu.

Na działce Andrzeja nie ma budynku nadającego się do zamieszkania. Sąd uznał jednak, że nie czyni to podziału sprzecznym z prawem. Apelację oddalił.

Wyprowadzka na mróz

Szczęsny dostał rok na wydanie byłej żonie działki z domem. Termin miał mu pozwolić na znalezienie innego lokalu.

- Jestem całkowicie sfrustrowany, bo sąd nie tylko pozbawił mnie majątku po rodzinie, ale w praktyce chciał pozbawić mnie jedynego źródła utrzymania. Bo przecież cały czas żyję z uprawy tej gospodarki. Co miałbym robić w życiu, gdybym sprzedał ziemię.

Zdaniem rolnika, z jego posesji zaczęły znikać kolejne przedmioty. Mężczyzna składał zawiadomienia na policji i w prokuraturze. Za każdym razem dochodzenia umarzano lub w ogóle odmawiano wszczęcia.

23 lipca 2024 roku Szczęsny trafił na szpitalny oddział ratunkowy z obrażeniem prawego uda. Lekarze rozpoznali powierzchowną ranę po postrzale z wiatrówki. Poszkodowany wskazał osobę, którą podejrzewał. Postępowanie umorzono jednak z powodu niewykrycia sprawcy.

Kolejne odmowy i umorzenia rolnik odbiera jako lekceważenie.

- Policja, prokuratura i sądy nie traktowały mnie poważnie - twierdzi. Co musi się stać, żeby zbadano sprawę dokładnie?

Wad nie stwierdzono

W sprawie majątkowej Szczęsny zwracał się do sądów, prokuratury, samorządu adwokackiego i Rzecznika Praw Obywatelskich. RPO odmówił wniesienia skargi nadzwyczajnej. Uznał, że sądy uwzględniły interesy obu stron, a orzeczenie nie zawiera wad pozwalających podważyć prawomocny wyrok. Skarga na pełnomocniczkę byłej żony również została uznana za bezzasadną. Izba adwokacka wyjaśniła, że prawniczka nie ustaliła terminu wyprowadzki, lecz wykonywała prawomocne orzeczenie.

Andrzej Szczęsny jest przekonany, że sprawiedliwości nie stało się zadość.

- Nie pojmuję, jak można było wyrzucić mnie z własnego domu. Nie wiem, jak to możliwe, że wszystkie drogocenne meble po ciotce w praktyce przejąć mogła była żona. Może sąd powinien na własne oczy zobaczyć, jak wygląda podział, o którym zadecydował? Teraz piszę do Ministerstwa Sprawiedliwości. Mam nadzieję, że chociaż tam ktoś mnie zrozumie.

PS Interesowało nas stanowisko byłej żony Andrzeja Szczęsnego. Niestety nie udało nam się z nią skontaktować.

©℗

eprasa.pl d72073f4ec

BEZPIECZEŃSTWO

Quo vadis Rosjo? Quo vadis Europo?

W co i o co gra Rosja? Dlaczego Europa i NATO gry nie podejmują? Dlaczego demokracja wydaje się być bezradna wobec putinowskiego agresywnego autorytaryzmu? Wyjaśnienia dr. hab. Macieja Milczanowskiego, ekspert ds. bezpieczeństwa narodowego i międzynarodowego, profesora Uniwersytetu Rzeszowskiego, nie napawają optymizmem

Andrzej Pięs

Rosja prowadzi coraz śmielsze działania dywersyjne w coraz większej liczbie państw Unii Europejskiej i NATO. W co gra Putin, co chce osiągnąć? Testuje granice tolerancji państw demokratycznych? I czy jest granica tej tolerancji, po której coś może się wydarzyć?

Nie sądzę, by taka granica istniała. Po kolejnych incydentach dywersyjnych, także po ataku tuż przy polsko-ukraińskim przejściu granicznym, słyszałem od ekspertów: powinniśmy ostro zareagować, za słabo reagujemy na te prowokacje. I nigdy nie określają, w jaki sposób konkretnie. Słyszę: odpowiedź powinna być adekwatna, w sensie - równa. Czyli, jak Rosjanie wysyłają dron, my też powinniśmy im wysłać dron. To nieporozumienie, jesteśmy inaczej skonstruowanym państwem, z inną mentalnością, na innym stopniu rozwoju cywilizacyjnego, podobnie jak kraje zachodniej Europy. A mamy do czynienia z krajem barbarzyńskim, działającym na tych samych zasadach, co sto i dwieście lat temu. Oczekiwać od nas, że przyjmiemy sposób postępowania Rosji, jest absurdalne. Właściwą reakcją, by Putin nie mógł pójść dalej, jest budowanie siły militarnej, wobec której Putin będzie czuł respekt. I zbroić się nie według archaicznego już kryterium oceny pola walki sprzed agresji Rosji na Ukrainę, ale na podstawie doświadczeń z tej wojny i umiejętności przewidywania, jak pole walki będzie wyglądać w przyszłości. Historia wojskowości uczy, że w czasach przełomu militarnego armie, które do tego przełomu dostosowywały się, bez problemu pokonywały dużo większe liczebnie armie, które mentalnie i technologicznie utkwiły w przeszłości.

Przecież zbroimy się gwałtownie i nie tylko my, co Rosji nie powstrzymuje przed ponawianiem akcji dywersyjnych. Nie możemy odpowiedzieć adekwatnie? Bombardowani jesteśmy atakami hakerskimi na instalacje i instytucje strategicznie wrażliwe, dlaczego nie odpowiadamy tym samym?

FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Putin chce odbudować rosyjsko-radzieckie imperium, chce się zapisać jako największy car w historii Rosji - mówi politolog Maciej Milczanowski

Może są, ale się do nich nie przyznajemy. Były cyberataki na Rosję, informatyczny paraliż ich systemów obronnych, na samym początku wojny zhakowano ich systemy dowodzenia. Jestem przekonany, że zachodnie wywiady takie operacje prowadzą, jeśli mają takie możliwości. Obawiam się, że nasz wywiad takimi możliwościami nie dysponuje, więc trudno, by uczestniczył w jakichś poważnych działaniach. Raczej korzystamy z uprzejmości CIA i innych podobnych służb wywiadowczych. To zresztą kolejny absurd.

Jednak brak spektakularnej reakcji państw europejskich i NATO na rosyjską prowokację sprawia, że te społeczeństwa przestają wierzyć w siłę swojego państwa. Przed dziesięciu laty Turcja zestrzeliła rosyjski bombowiec na pograniczu syryjsko-tureckim, trzecia wojna światowa z tego nie wyniknęła. Europy na tak radykalny krok nie stać.

Od początku rosyjsko-ukraińskiej wojny NATO było zbyt powściągliwe, także w zakresie wsparcia Ukrainy. Wciąż ze strony państw sojuszu słyszeliśmy o „czerwonych liniach", które sami sobie wyznaczaliśmy. Bo ich przekroczenie grozi, że „coś się stanie", ale nikt nie określił, co mogłoby się stać. A można było, bo kiedy Rosja wykonywała jakieś ruchy ostrzegawcze przy swoich instalacjach broni nuklearnej, prezydent Biden wysłał okręty nuklearne na Morze Czarne i Rosja przestała grozić atomem. I to jest właściwa reakcja. A my, Europa, boimy się potencjalnych konsekwencji odpowiedniej reakcji, ten lęk tkwi w naszych umysłach i wyobraźni, ale one nie wynikają z rzetelnej analizy sytuacji. Wszystkie „czerwone linie", jakie sobie rysowaliśmy, już dawno zostały przez Rosję przekroczone. Tu się uwidacznia pewien paradoks: nie ma możliwości, by demokratyczna Europa podejmowała decyzje o reakcji tak szybko i radykalnie, jak autorytarna Rosja decyduje o podjęciu prowokacji, bo w Europie ci, którzy są przeciwko większej konsolidacji europejskiej, najgłośniej oskarżają Europę o brak decyzyjności. Im silniejsze pojawią się tendencje do większej konsolidacji, tym głośniejszy będzie krzyk przeciwników takiego procesu. Ku radości Kremla. Kiedy pojawił się pomysł o powołaniu dowództwa sił państw europejskich, które będzie koordynować działania tych sił wobec inwazji rosyjskiej, u nas natychmiast pojawił się sprzeciw: Niemcy i Brytyjczycy nie będą nam rozkazywać, nie będą nam dowodzić. Jak przy takiej retoryce budować jakąkolwiek jedność obronną?

Wrócę do pytania: quo vadis Rosjo? Putin ciągnie tę wojnę wbrew rozsądkowi, by utrzymać się przy władzy, bo jej zakończenie bez pełnego zwycięstwa oznacza jego koniec? Czy chce odtworzenia Paktu Warszawskiego, odzyskując wpływy w naszej części Europy? Czy może odbudowania supermocarstwa na poziomie Związku Sowieckiego?

Wszystkiego naraz i jeszcze więcej. Dezintegruje i dzieli społeczeństwa państw zachodnich, każdy głośny przypadek rosyjskiej dywersji daje paliwo na przykład AfD, naszym Braunom czy Frontom Narodowym we Francji do krzyku, że Rosja jest silna, nie zadzierajmy z nią. Oni Rosji nie bronią, oni mówią: bójcie się Rosji, spełnijmy jej oczekiwania, żeby nie było wojny. I co gorsze – te hasła są coraz bardziej nośne, także u nas. Dziś już śmiesznie łatwe jest stymulowanie konfliktów między Polakami a Ukraińcami, co momentami ociera się o absurd, jak oskarżenia, że: przecież te drony przyleciały do Polski z Ukrainy. To rozedrganie naszej opinii społecznej w jakiś sposób odzwierciedla stan państwa. Społeczeństwa silnych państw nie są tak bardzo podatne na wpływy rosyjskie. Czasu na osiągnięcie celów Putin ma niewiele, w tej chwili korzysta z okienka geopolitycznego, jakie zapewnia mu prezydentura Trumpa. Do wyborów połówkowych w USA, więc do listopada na pewno, być może dłużej, bo rosyjscy oligarchowie nadal będą finansować śluby rodzinne u Trumpa, nadal będą wpływać na amerykańską politykę. Dopóki w USA rządzi Trump, Putin tej wojny nie zakończy, bo to czas, kiedy może najwięcej uzyskać. Po drugie: Putin chce odbudować rosyjsko-radzieckie imperium, a i w tym przypadku motywacja jest stricte osobista: chce się zapisać jako największy car w historii Rosji. Jest starym człowiekiem, nie potrzebuje gromadzić i tak już gigantycznego prywatnego majątku, chce mieć pomnik. A w Rosji największe szanse na pomnik mają zwycięzcy przywódcy. Równie osobista jest kolejna motywacja: jeśli zakończy tę wojnę inaczej, jak tylko bezdyskusyjnym zwycięstwem, to każde inne rozstrzygnięcie zostanie przez jego otoczenie i poddanych uznane za porażkę. Rosjanie mogą mu wybaczyć miliony ofiar, ale nie wybaczą porażki. I szanse na wygraną ma: jeśli uda mu się całkowicie rozbić Ukrainę, jeśli doprowadzi do tego, że AfD będzie rządzić Niemcami, a Front Narodowy we Francji, prorosyjska skrajna prawica w Polce, to można powiedzieć, że wpływy w znacznej części Europy odzyska. Rosyjskie boty i dezinformacja w mediach społecznościowych od dawna nad tym pracują.

A tymczasem rosyjscy sabotażyści i dywersanci – harcownicy grasują po Europie, w społeczeństwach europejskich narasta brak zaufania do mocarności europejskich państw i ich siły sprawczej, do sprawczości Unii Europejskiej w ogóle. Jesteśmy wobec prymitywnej rosyjskiej agresywnej siły bezbronni i bezradni - pokazują doświadczenia ostatnich kilku lat. Rzeczywiście tak jest, czy to tylko frustracja europejskich „jastrzębi"?

Kiedyś Ben Gurion powiedział, że pierwsza linią obrony państwa jest wywiad i kontrwywiad. A wiedza o zamiarach i działaniach przeciwnika jest podstawą podejmowania decyzji. W Polsce tuż przed wybuchem wojny na Ukrainie rozwiązywano terenowe placówki Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, na przykład w Rzeszowie. Wcześniej zniszczyliśmy własny wywiad, czego skutki odczuwaliśmy w Iraku. Struktury służb specjalnych zaczęliśmy odbudowywać, ale to materia, której nie da się odtworzyć w rok, na to trzeba dekad. Gdyby ktoś zapytał, czy potrafilibyśmy przygotować i skutecznie przeprowadzać takie operacje jak Ukraińcy, to odpowiedź jest oczywista. Uznaliśmy, że nie ma sensu utrzymywać swoich tajnych służb, lepiej polegać na uprzejmości CIA. Jeśli państwo z naszym położeniem geopolitycznym zdaje się w tym zakresie na przyjaciela zza oceanu, to na własne życzenie oślepia się i ogłusza. Sami pozbawiliśmy się tej pierwszej linii obrony. Chyba już nie jest tajemnicą, że kiedy wybuchła wojna za naszą wschodnią granicą, więcej tu było wywiadu zachodniego niż naszego.

eprasa.pl d72073f4ec

OBYCZAJE

FOT. ARCHIWUM POLSKA PRESS

Grzybobranie to przede wszystkim przyjemność. I to się nie zmienia

Na grzyby ze smartfonem i prognozą pogody

Kiedyś wystarczyło wziąć nożyk i koszyk, by iść na grzyby. Dzisiejszy grzybiarz korzysta z techniki: w telefonie ma mapę offline i aplikację Lasów Państwowych, a w kieszeni obowiązkowy repelent na kleszcze

Matylda Witkowska

Grzybobranie to sport narodowy Polaków. CBOS kilka lat temu wyliczyło, że na grzybach przynajmniej raz w życiu było 77 proc. dorosłych obywateli. Przynajmniej raz w sezonie w lesie jest niemal co drugi Polak (w tym 48 proc. ankietowanych mężczyzn, choć już tylko 39 proc. kobiet). Na grzyby częściej jeżdżą osoby starsze, za to aż 40 proc. młodzieży w wieku 18-24 lat nigdy na grzybach nie było.

Starsze pokolenia grzybiarzy mają też inne doświadczenia. Kilkadziesiąt lat temu wypad na grzyby bywał wyzwaniem. Mało który amator prawdziwków miał samochód, zakłady pracy obowiązkowo organizowały więc jesienne grzybobrania, które cieszyły się ogromnym powodzeniem. Wyjeżdżało się jeszcze w nocy, by o świcie być w lesie, wracało późnym wieczorem z wiadrami grzybów z poczuciem satysfakcji i miłymi wspomnieniami.

Takie wyjazdy na grzyby z lat 80. dobrze pamięta pan Krzysztof z Łodzi. Jego przedsiębiorstwo organizowało wyjazdy w rejon Puszczy Noteckiej.

- Tam są ogromne lasy, sosnowe, grzybów zawsze było zatrzęsienie. Nie trzeba było zbytnio chodzić, można było zostawić wiaderko w jednym miejscu i zapełniać je zbierając dookoła. Po całym dniu można było zamknąć oczy i dalej widzieć te grzyby... – wspomina dawne grzybobrania.

Zorganizowany wyjazd był atrakcją, w tym także towarzyską. Mocne trunki degustowano już w autokarze i rano nie każdy miał siłę, by naprawdę grzyby zbierać.

– Większość uczestników szła w las, ale zawsze była grupa, która zostawała przy autokarze i tam przez cały dzień się relaksowała. Na szczęście grzyby można było kupić od miejscowych. Ludzie kupowali całe wiadra i wieźli do domów, żeby żony się nie denerwowały – wspomina Łodzianin.

Nożyk, koszyk i gumiaki

Wyjazdy były dla pracujących. Dzieci i seniorzy po prostu szli do najbliższego lasu, czasem korzystając z PKS lub z pociągu.

- Braliśmy nożyk, stary koszyk i gumiaki, bo po drodze była grząska łąka. Mapy okolicy nikt nie widział, dzieciaki straszono, żeby nie wchodziły za głęboko, bo jak się zgubią, to będą szły aż do Wisły. Chyba działało, bo jakoś nikt z nas się nie zgubił - wspomina pani Joanna, która zbierała grzyby w województwie świętokrzyskim.

Atlasu grzybów prawie nikt w domu nie trzymał. Grzybobrania uczono się od rodziców i dziadków, a gatunki jadalne poznawano organoleptycznie – po prostu oglądając to, co rosło i trafiało do koszyków i garnków.

To się jednak zmieniło. Dzisiejszy grzybiarz – zwłaszcza ten młodszy, lepiej obeznany z nowymi technologiami, jest dobrze wyposażony i przygotowany. Wyjazd na grzyby zaczyna od sprawdzenia prognozy pogody długoterminowej i doniesień o sytuacji w lasach. Ma też „zalajkowane" fora i grupy grzybowe w mediach społecznościowych. Czasem za takie informacje płaci – na przykład popularny portal grzyby.pl bierze za dostęp od 15 zł za dzień do 38 zł za sezon – z dniami gratis dla tych, którzy zaangażują się i wstawią doniesienia.

Nie brakuje jednak otwartych grup do wymiany doświadczeń i identyfikacji grzybów. Tu króluje Facebook, który ma starszych użytkowników, w tym także miłośników grzybów. Lokalne grupy grzybiarskie ma każde województwo, ludzie chwalą się zbiorami i proszą o pomoc w identyfikacji. Zamiast pytać rodzinę, każdy może wrzucić zdjęcia grzybów i poprosić o pomoc wirtualnych znajomych.

- Trzeba jednak uważać, bo zdarzają się żartownisie – ostrzega pani Joanna z Łodzi, która sugeruje dużą ostrożność w korzystaniu z internetowego doradztwa mykologicznego. Takie żarty mogą mieć tragiczne konsekwencje, dlatego regulaminy grup za udzielanie nieprawdziwych informacji przewidują usunięcie z grupy.

- Ale i tak prawie zawsze oprócz 10 komentarzy „to rydz, jedz na zdrowie" ktoś dopisze „uważaj, bo otrujesz rodzinę". Kto się nie zna na grzybach, naprawdę może poczuć się skołowany – mówi grzybiarka.

Podstawą dzisiejszego grzybobrania są jednak aplikacje z mapami offline, których można używać także w kniejach, gdzie brakuje zasięgu. Takie aplikacje to na przykład uwielbiane przez grzybiarzy Mapy.cz, czy ściągnięte na telefon popularne mapy Google, albo Bank Danych o Lasach. Tę ostatnią aplikację dla użytkowników lasów 13 lat temu uruchomiły Lasy Państwowe - można tu znaleźć dokładne mapy nie tylko z określeniem dominującego gatunku drzew, ale też z podziałem na tzw. adresy leśne – sektory lasów z numerami w razie kłopotów określą naszą lokalizację.

Internetowe sklepy dla grzybiarzy

Nie brakuje też akcesoriów dla grzybiarzy. Mają popularne sieciówki sportowe i militarne, ale są też sklepy internetowe... tylko dla grzybiarzy. Znajdziemy w nich wszystko – od ubrań, przez różnorodone nożyki, aż po etykiety na słoiki z zamarynowanymi przez nas grzybkami. W sklepach dla grzybiarzy jest odzież outdorowa, koszulki i torby ze śmiesznymi napisami, a także obowiązkowe środki na kleszcze – a dla pechowców, którzy się nie psikali, także... zioła na boreliozę. Kto nie wie na co się zdecydować, może wybrać kompletny „Zestaw prezentowy dla grzybiarza" – w jednym pudełku znajdziemy koszyk, torbę, kapelusz oraz składany nożyk ze szczoteczką z naturalnego włosia i miarką do mierzenia okazów, która przydaje się też do zdjęć.

Współcześni grzybiarze zazwyczaj mają też samochody i częściej niż kiedyś jeżdżą do lasów prywatnie – z rodziną lub znajomymi. Czasem „do lasu" rozumieją dosłownie – zdarza się, że zapaleńcy podnoszą szlabany i wjeżdżają na leśne ścieżki. Ale dla leśników większym problemem są ci, którzy parkując tłumnie przed szlabanami, niefortunnie blokują wjazd do lasu – leśnikom albo straży pożarnej.

- Takiego samochodu nie możemy przesunąć ani objechać – wyjaśnia Michał Twardowski, który odpowiada za kontakty z mediami w Nadleśnictwie Grotniki.

Za niewłaściwe zachowanie grożą mandaty. Mogą sięgać do 500 zł, przy kumulacji wykroczeń do 1 tys. zł. Tylko na terenie Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Łodzi straż leśna od początku roku nałożyła 323 mandaty, z tego najwięcej za wjazdy do lasów, puszczanie psów luzem i śmiecenie. Do tego strażnicy udzieli 1719 pouczeń.

Jednak leśnicy zauważają, że dzisiejsi grzybiarze są coraz bardziej świadomi, więcej wiedzą, rzadziej niszczą grzybnię czy śmiecą, zwłaszcza jeśli przychodzą w swoje stałe miejsca regularnie.

- Grzybiarze nie są kłopotliwi, wiedzą jakie są zasady: że samochody zostawia się na parkingach, śmieci zabiera ze sobą, a grzyby wykręca, a nie wyrywa z grzybnią – wylicza Hanna Bednarek-Kolasińska z RDLP w Łodzi.

Dziś wyraźnie mniej jest natomiast grzybowych wyjazdów zorganizowanych. Do niedawna organizował je dla swoich pracowników Urząd Miasta w Zgierzu, ale w tym roku już go nie będzie. Cały czas jesienne grzybobranie organizuje Stowarzyszenie Instruktorów Hufca ZHP Łódź-Górna „Krąg", w tym roku też będzie – w październiku. Do ośrodka ZHP w Załęczu Wielkim w Łódzkiem jeżdżą głównie dawni instruktorzy harcerscy, dziś już seniorzy. Ale na grzybobraniach nie brakuje też młodszych uczestników - wszyscy zbierają grzyby, potem palą ognisko, śpiewają.

Dlatego przewodnicząca Stowarzyszenia „Krąg" hm Wiesława Szczawińska jest przekonana, że grzybobranie to zajęcie nie tylko dla seniorów. - Dzieci też chętnie chodzą na grzyby, zwłaszcza w wakacje. Pamiętam na jednym z obozów jak drużyna zuchów wyszła do lasu i wróciła z 15 reklamówkami grzybów – wspomina.

Przyznaje przy tym, że także harcerskie grzybobranie się zmienia: kiedyś harcerze w lesie używali map i busoli, dziś każdy ma w telefonie mapę i lokalizację urządzenia, a w razie zagubienia się w lesie może zadzwonić. Ale jedno pozostaje takie same. - Grzybobranie to przede wszystkim przyjemność – podkreśla Wiesława Szczawińska. - To przyjemność ze zbierania, przyjemność z obierania i przyjemność z jedzenia.

eprasa.pl d72073f4ec

SPOŁECZEŃSTWO

John Godson, polityk, misjonarz, farmer wrócił z Nigerii do Łodzi. Wszędzie dobrze, ale tu najlepiej?

Był pierwszym Afrykaninem, który został polskim posłem, a wcześniej radnym w Łodzi. 11 lat temu, gdy upadła jego polityczna kariera, zdecydował się wrócić do Nigerii. Teraz jednak wrócił z Afryki. Do Polski przyjechał z nigeryjską żoną i trójką dzieci. Właśnie urządza się w Łodzi.

FOT. ARHCIWUM POLSKA PRESS

Do dziś wielu Łodzian pamięta wydarzenia z czerwca 2012 roku, kiedy rodzinę Godsonów odwiedził sam premier Donald Tusk. Później drogi obydwu polityków się rozeszły

Anna Gronczewska

Życie Johna Abrahama Godsona to znakomity materiał na filmowy scenariusz. Urodził się 25 listopada 1970 roku w Nigerii jako Godson Chikama Onyekwere. Dzieciństwo spędził na przedmieściach Umahia, jednego z większych nigeryjskich miast. Skończył studia na kierunku agronomia. Potem zaczął pracować w Międzynarodowym Instytucie Badań nad Rolnictwem Tropikalnym. Został członkiem Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Akademickiego i w 1993 roku przyjechał na misję do Polski. Na krótko zatrzymał się w Katowicach, potem pojechał do Szczecina. Dostał pracę na tamtejszej politechnice. Uczył angielskiego. Jeździł też na wykłady na Uniwersytet Poznański. Po czterech latach przeniósł się z rodziną do Choszczna, 20-tysięcznego miasteczka położonego siedemdziesiąt pięć kilometrów od Szczecina. Był już wtedy żonaty z Polką, Anitą. Poznali się jeszcze w Szczecinie.

Od ewangelizacji do polityki

Ale to Łódź stała się miastem, gdzie John Godson odnalazł swoje drugie powołanie. Na stałe przyjechał tu w 2003 roku, jednak jego pierwsze spotkanie z miastem miało miejsce wcześniej.

– Był 1993 rok, miesiąc wcześniej przyjechałem do Polski, do Katowic – opowiadał nam John Godson. – Ta wizyta w Łodzi zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Przyjechałem tu z zespołem misyjnym, który prowadził ewangelizację na ul. Piotrkowskiej, koło „Hortexu".

Misjonarzy było szesnastu. Przyjechali m.in z USA, Anglii, Afryki. John Godson zapamiętał, że całe dnie spędzali na ul. Piotrkowskiej, od rana do wieczora. M.in ewangelizując przechodniów i wystawiając sceny pantomimy.

Razem z innymi misjonarzami mieszkał wtedy w schronisku młodzieżowym PTTK przy ul. Zamenhofa. Zapamiętał, że miał stamtąd blisko na ul. Piotrkowską.

Trzeba było trochę poczekać, by w Łodzi zamieszkał na stałe. Najpierw sam mieszkał w wynajmowanym mieszkaniu w bloku na Olechowie, przy ul. Bolesława Szczodrego. Po roku państwo Godsonowie przeprowadzili się do bloku TBS, na Janów, w okolice ul. Rokicińskiej. John i Anita mają czwórkę dzieci: 31-letnią Sharon, 28-letnią Deborę, 23-letniego Izaaka i 21-letniego Daniela.

– Od początku czułem się na Olechowie i Janowie bardzo dobrze – zapewniał nas przed laty John Godson. – Ja i moja rodzina zostaliśmy szybko zaakceptowani. Przyznam się, że na początku mojego pobytu w Łodzi trochę bałbym się mieszkać w centrum miasta, na ul. Piotrkowskiej. Dziś takich obaw nie mam, bo Łodzianie mnie poznali... Spacerując między blokami Olechowa i Janowa co rusz spotykałem znajomych, sąsiadów, którzy się do mnie uśmiechali, kłaniali się. Wielu z nich to moi wyborcy. Dzięki nim zostałem pierwszym czarnoskórym radnym Rady Miasta Łodzi, a potem posłem.

John był duchownym Kościoła Bożego w Chrystusie, prowadził w Łodzi Misję Pielgrzyma, ale w 2008 roku zawiesił tę działalność.

Pierwszy czarnoskóry radny i poseł

W 2001 roku John Godson otrzymał polskie obywatelstwo i dzięki temu mógł rozpocząć swoją działalność polityczną. W 2004 roku wstąpił do Platformy Obywatelskiej, znalazł się w radzie osiedla Olechów - Janów, został nawet jej wiceprzewodniczącym. W 2006 roku bez powodzeniem kandydował do łódzkiej Rady Miasta. Rok wcześniej nie został wybrany posłem. W 2010 roku został już radnym. Wszedł też do Sejmu, gdy jego koleżanka z PO Hanna Zdanowska została prezydentem Łodzi, zwalniając mandat poselski.

Był pierwszym czarnoskórym posłem. Po roku, w kolejnych wyborach, został znów posłem PO. Ale w 2013 roku odszedł z PO i został posłem niezrzeszonym. W tym samym roku był jednym z założycieli Polski Razem, został jej wiceprezesem i szefem jej struktur w województwie łódzkim. Był liderem Polski Razem w wyborach do Parlamentu Europejskiego, ale jego partia nie przekroczyła progu wyborczego. W tym samym 2014 roku zrezygnował z funkcji wiceprezesa, a następnego dnia wyrzucono go z Polski Razem. Stało się tak, bo zagłosował za udzieleniem wotum zaufania rządowi Donalda Tuska. Potem startował w wyborach prezydenta Łodzi, ale nie został wybrany. Został członkiem klubu parlamentarnego PSL. Ale w wyborach w 2015 roku nie został posłem.

Do dziś wielu Łodzian pamięta wydarzenia z czerwca 2012 roku kiedy rodzinę Godsonów odwiedził sam premier Donald Tusk z małżonką Małgorzatą.

- Poseł Godson przyjął Tusków w swoim mieszkaniu razem z żoną, czwórką dzieci i swoją mamą, która kilka tygodni temu przyjechała z Nigerii – pisał o tym wydarzeniu „Express Ilustrowany". - Wszyscy zasiedli przy stole - poseł zachwalał afrykańskie wina, które podał do obiadu.

Utalentowane dzieci

John Godson może na pewno być dumny ze swoich dzieci. Sharon Kosobucka nie poszła w ślady ojca. Została wokalistką w zespole ENY, który nagrywał dla BBC. To absolwentka nauk o wychowaniu na Uniwersytecie Łódzkim, mieszka dziś w Wielkiej Brytanii.

- Śpiew i muzyka towarzyszył mi całe życie – zapewniała nas Sharon Godson-Kosobucka. - Zawsze było to naturalnym elementem w naszej rodzinie. W domu prawie zawsze grała muzyka - różnego rodzaju. Przeważnie dało się słyszeć śpiew jednego z rodzeństwa. Od najmłodszych lat śpiewałam razem z siostrą - dla siebie i Boga. Nigdy nie myślałam o robieniu kariery muzycznej. Bycie piosenkarką brzmiało dla mnie mało poważnie, trochę jak dziecinne marzenie. Bóg miał jednak inne plany i około półtora roku temu uświadomił mi, jak ważne jest używanie talentów, które w nas włożył.

Natomiast syn byłego posła Daniel Godson w ubiegłym roku piosenką „Jest jak jest" wygrał debiuty w Opolu.

Farma w Nigerii

Po nieudanych dla Johna Godsona wyborach w 2015 roku wyjechał do Nigerii. Tam kupił 600-hektarową farmę. Hodował świnie, bydło, kozy, owce i kurczaki. Wokół rosły banany, papryczki chili, drzewa kokosowe. Godson znalazł się na liście 100 najbardziej wpływowych ludzi Afryki. Chciał ubiegać się o fotel prezydenta Nigerii, ostatecznie startował do senatu, ale mandatu nie zdobył.

Jego małżeństwo z Anitą rozpadło się. W Nigerii Godson założył drugą rodzinę. Jego żoną została Nigeryjka Miriam, która jest projektantką mody. Mają trzy córeczki: Lydię, Annę i Hannah. Dwie z nich to bliźniaczki.

Wszędzie dobrze, ale w Polsce najlepiej?

Kilka dni temu John Godson z nową rodziną pojawił się w Polsce. Zapowiedział, że zamieszka w Łodzi. Już szuka przedszkola i żłobka dla dzieci.

W komunikacie zamieszczonym na swoim profilu na Facebooku napisał, że Polska ponownie staje się głównym miejscem zamieszkania oraz bazą dla dalszej działalności zawodowej, społecznej, akademickiej, gospodarczej i misyjnej.

- Polska od 33 lat zajmuje wyjątkowe miejsce w moim życiu i szczególne miejsce w moim sercu - napisał były poseł. - To tutaj przez wiele lat mieszkałem, pracowałem, prowadziłem działalność społeczną i duszpasterską oraz pełniłem mandat posła na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej. Z Polską związana jest również znaczna część historii mojej rodziny – tutaj mieszkają moje dorosłe dzieci oraz wnuki. Powrót ten jest więc dla mnie nie tylko zmianą miejsca zamieszkania, ale prawdziwym powrotem do domu, do rodziny i do kraju, z którym czuję się głęboko związany.

Zaznaczył, że jego przeprowadzka do Polski nie oznacza zakończenia ani ograniczenia działalności prowadzonej w Nigerii i innych częściach Afryki. Przedsięwzięcia biznesowe, rolnicze, edukacyjne, misyjne i filantropijne będą nadal kontynuowane i rozwijane przez istniejące struktury oraz zespoły zarządzające. Będzie również regularnie podróżował do Nigerii i innych krajów afrykańskich, aby nadzorować realizowane projekty i wspierać ich dalszy rozwój.

- Polska stanie się natomiast główną bazą koordynacji naszej działalności międzynarodowej oraz miejscem rozwijania nowych inicjatyw służących budowaniu współpracy pomiędzy Polską, Europą i Afryką - napisał John Godson. - Zamierzam nadal angażować się w działalność społeczną, akademicką, gospodarczą, misyjną i publiczną, wykorzystując wieloletnie doświadczenie zdobyte na obu kontynentach.

Można przypuszczać, że John Abraham Godson znów będzie chciał zaistnieć w polskiej polityce.

eprasa.pl d72073f4ec

RETROMOTORYZACJA

Samochód XXI wieku? Najlepiej z początków poprzedniego. Fani starych aut wiedzą, co mówią

Ma prawie sto lat, ale nie traktuję go jako zabytek muzealny, przy którym trzeba stać z czystą szmatką od kurzu: wsiadam i jadę - z żoną i córką, z przyjaciółmi, na rajdy, czy nawet na zakupy. Ludzie zawsze się uśmiechają na widok starego Forda, robią zdjęcia i zagadują: ile kosztuje utrzymanie takiego auta. A ja mówię - niewiele, bo sie nie psuje...

Grzegorz Okoński

Między innymi to auto będzie można zobaczyć na rozpoczynającym się dziś w Poznaniu Rertro Motor Show. Ford A Pick-Up wygląda bardzo dziś nietypowo: przód eleganckiego, zabytkowego samochodu z dwuosobową szoferką i szprychowymi kołami. Tył – ze skrzynią ładunkową, jak w amerykańskich samochodach wożących na farmach wszystko co trzeba. Podobno w Europie jest około 25 sztuk tego typu – w tym jedna należąca do Piotra Matuszka, pasjonata samochodów, ich kolekcjonera i czterokrotnego automobilowego Mistrza Polski.

Tym samochodem, zbudowanym w 1928 roku, zachwycili się w czerwcu Czesi z Veteran Car Club Praha, gdy jego właściciel zameldował się na trasie ponad tysiąckilometrowego rajdu, „1000 mil československých" z Pragi do Bratysławy i z powrotem do Pragi, wśród 130 przedwojennych aut – w tym trzech z Polski. Ale też pamiętali, że dla Piotra i Lidii Matuszek nie jest to pierwszy taki rajd: bo dwa lata wcześniej pokonali oni 1100 kilometrów na tej samej trasie Praga – Bratysława Praga innym Fordem A – tym razem modelem Sport Coupe. Choć może... nie wiedzieli, że państwo Matuszek mają jeszcze trzeciego Forda A – czterodrzwiowego, większego od swoich „kolegów z garażu"! Bo pan Piotr zbiera zabytkowe samochody – lecz nie trzyma w zamknięciu, lecz utrzymuje je w pełnej sprawności i całkiem sporo nimi jeździ!

- Zaczęło się niewinnie, od dużego Fiata, z którym miałem trochę kłopotów, bo ciągle gnił – opowiada Piotr Matuszek. – Po nim był Fiat 126p, po nim współczesne auta, aż wreszcie wpadł mi w oko na aukcji amerykańskiej ten nietypowy pick-up, czyli Ford A. Nieczęsta kombinacja taki wóz ze skrzynią z tyłu. Wtedy zachwycił mnie wiekiem, tym, że ocalał przez tyle lat, tak, że nawet nie przeraziło mnie to, że wóz nie przypominał pięknego zabytku, bo był... po pożarze. To znaczy – on nie zapalił się wcześniej, bo komora silnika nie nosiła przecież śladów ognia, natomiast był przechowywany w garażu, który się palił. Samochód wyciągnięty z pożaru nadawał się więc tylko do remontu...

To „choroba", której się nie leczy: myślę zatem o kolejnych autach, mam włoskiego Fiata 508C, marzę więc o polskim, choć pozyskanie go będzie bardzo trudne

PIOTR MATUSZEK

kolekcjoner, założyciel Auta Po Babci

FOT. PIOTR MATUSZEK

Pierwszy w kolekcji zabytków, rzadki w takiej konfiguracji - czyli Pick Up

Piotr Matuszek odrestaurował, a właściwie odbudował Forda, przywracając mu wygląd sprzed blisko stu lat. Przyznaje, że kupując taki samochód myślał, że uda się go wykorzystać jako element promocji swojej działalności gospodarczej – budowlanej i klimatyzacyjnej, ale mimo to nieczęsto umieszcza na nim elementy reklamowe w postaci nakładanych na maskę magnesów: najczęściej piękny samochód jeździ w czystej formie.

Miłość do Forda A zaowocowała kolejnymi nabytkami: po Pick-Upie przyszła kolej na dwanastępne modele A, także sprowadzone ze Stanów Zjednoczonych: model Sport Coupe, samochód czteroosobowy, ze składaną tylną dwuosobową kanapą – zwaną „kanapą teściowej" – i stopniem ułatwiającym wsiadanie, a także większy, czterodrzwiowy model, wykorzystywany do jazd dla rodziny i przyjaciół, a zdarzyło się mu też obsługiwać wesela.

- Cieszę się, że ten Sport Coupe jest podziwiany wszędzie, gdzie pojadę, bo w pierwotnej wersji, jak przyjechał do Polski, nie był w super stanie - też był mocno zmęczony. Z cztery – pięć lat go restaurowałem. I nim najpierw pojechałem na tysiąckilometrowy rajd do Pragi...

Bo pan Piotr wychodzi z założenia, że samochody są do jeżdżenia, a nie do zbierania kurzu: wszystkie wozy są regularnie użytkowane.

- Ich utrzymanie nie jest jakoś przesadnie kosztowne: to tak jak ze zwykłym samochodem, który nie jest jeszcze nafaszerowany elektroniką: w grę wchodzi wymiana oleju, jakiś pasek klinowy, jakiś wyciek, ubezpieczenie OC... Dbam o nie, więc raczej niewiele się psują. Odwdzięczają się tym, że odpalam silnik i jedziemy: do pracy, na rajdy, nawet po zakupy! Ludzie się zawsze uśmiechają na ich widok, robią zdjęcia, chwalą, pytają o wiek... Te samochody są dobrze odbierane, gdzie tylko się pojawią.

A Fordy – tak jak inne zabytki pana Piotra – kabriolet MG TD, Ford Mustang Coupe z 1967 roku i wiśniowy Fiat 508C – mają gdzie się pojawiać, bo ich właściciel z żoną chętnie je prezentuje na wystawach i rajdach. Teraz kolekcję można zobaczyć w Poznaniu na targach Retro Motor Show, a wcześniej – na kilku dużych imprezach związanych z „zabytkami na kołach".

Oprócz czeskiego rajdu, Piotr Matuszek pojechał z żoną w lipcu na 45. Międzynarodowy Beskidzki Rajd Pojazdów Zabytkowych (V Runda Mistrzostw Polski Pojazdów Zabytkowych), połączony z paradą w centrum Bielska – Białej. Tu na trasę wyjechał „młodzieniec" w kolekcji – biało – czerwony Ford Mustang Coupe z 1967 roku, który także zachwycił organizatorów i startując w klasie Post 60 zdobył trzecie miejsce i nagrodę w Konkursie Elegancji. Jednocześnie państwo Matuszek triumfowali w klasie pre-

eprasa.pl d72073f4ec

45, uzyskując pierwsze miejsce w próbach sportowych w swojej klasie, drugie w klasyfikacji generalnej oraz nagrodę w konkursie elegancji Szczyrk – Bielsko - Biała. Nawiasem mówiąc, była to udana impreza dla miłośników motoryzacji z Wielkopolski, bo Automobilklub Wielkopolski otrzymał specjalną nagrodę Komandora Jacka Balickiego za wieloletnią przyjaźń i najliczniejszą reprezentację na rajdzie.

Dla Forda Pick-Upa nagrody nie są obce. Start w mistrzostwach Polski przyniósł już mu tytuły mistrzowskie, m.in. w grudniu 2022 roku, gdy w czasie Mistrzostw Polski Pojazdów Zabytkowych państwo Matuszek mogli postawić na jego masce puchar Mistrzów Polski w klasie pre-45 w kategoriach kierowców i pilotów, Konkursu Elegancji i w Próbach Sportowych, a sam Ford zdobył tytuł Automobila Roku. W tych zawodach Automobilklub Wielkopolski uplasował się na piątym miejscu wśród 25 klubów z całej Polski.

- Udało się utrzymać tytuł już rok później, w I Rundzie Mistrzostw Polski Pojazdów Zabytkowych w Stalowej Woli, z naszym Fordem A Sport Coupe zdobyliśmy pierwsze miejsce w klasie pre-45, tak samo w próbach sportowych i w konkursie Najpiękniejszy Pojazd. W sumie mamy na koncie cztery Mistrzostwa Polski!

FOT. AUTO PO BABCI

Trzy Fordy A w całej okazałości

Piotr Matuszek godnie reprezentuje Automobilklub Wielkopolski, m.in. kolejną kadencję będąc przewodniczącym Komisji Pojazdów Zabytkowych. Niezależnie od tego współtworzy projekt Auto Po Babci.

- Taka fajna nazwa, nawiązująca do wieku samochodów – naturalnie nie dosłowna, bo żaden z samochodów nie jest prezentem od babci! Jesteśmy grupą pasjonatów zabytkowej motoryzacji, realizujemy swoją pasję organizując rajdy pojazdów zabytkowych, uczestniczymy w wystawach, prelekcjach, rekonstrukcjach historycznych, widowiskach, wszędzie tam gdzie dzieje się historia.

Obecnie na Międzynarodowych Targach Poznańskich w Poznaniu odbywa się - od piątku 18 do niedzieli 20 września- już dziesiąta edycja targów Retro Motor Show. W ubiegłym roku zajęły pięć dużych pawilonów i ponad 35 tys. metrów kwadratowych do zwiedzania - w tym roku organizatorzy zapewniają, że będzie jeszcze lepiej! Można bowiem podziwiać niemal tysiąc zabytkowych samochodów, motocykli, autobusów, wozów strażackich i pojazdów wojskowych - przy okazji: Muzeum Broni Pancernej w Poznaniu pokazuje dwa w pełni sprawne czołgi T-34/85 i lekki T-70. A obok zabytków zobaczycie wyszukane stroje z dawnych lat, usłyszycie muzykę retro, a jeśli macie zasobny portfel i czujecie, że właśnie nadszedł czas na spełnienie marzeń - możecie zajrzeć na targową Giełdę Pojazdów Zabytkowych - jedyne takie miejsce, gdzie można porozmawiać z pasjonatami, obserwować i porównywać rozwiązania techniczne w innych wozach, a także kupić części zamienne i całe pojazdy.

Wśród rzadko spotykanych pojazdów zapowiedziany jest też kombajn który pokona 400 kilometrów, a House of Classic przedstawi m.in. jednego z trzech w Europie wozów Simplex Crane Model 5, czyli amerykańskiego Rolls Royce'a z 1916 roku, z gigantycznym 9 litrowym silnikiem o mocy 110 KM, Porsche 911T z 1969 roku w kolorze Bahama Yellow, czy De Tomaso Pantera z 1972 roku, konkurenta Lamborghini Countach i Ferrari 365 GT4 BB. Będzie też Grupa Rekonstrukcji Historycznej „Zmierzch epoki", która przeniesie zwiedzających w klimat belle epoque, z dawnymi strojami i przemiotami z przełomu XIX i XX wieku.

FOT. AUTO PO BABCI

„Kanapa teściowej" w Fordzie A Sport Coupe z 1929 roku

FOT. PIOTR MATUSZEK

Po ponad tysiąckilometrowym rajdzie - meta w Pradze

eprasa.pl d72073f4ec

PROBLEM

Polska ma zasoby wodne jak Nigeria. Od ponad dekady mamy suszę

- Problemy z poborem i dostawami wody w gminach będą nam prawdopodobnie towarzyszyć co roku - mówi dr inż. Dorota Pierri, hydrogeolog z Wydziału Geologii, Geofizyki i Ochrony Środowiska Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie

Piotr Samolewicz

Tego lata na Podkarpaciu w co najmniej dwóch gminach dowożono mieszkańcom wodę z powodu albo wyschniętego ujęcia wody albo niewydolności wodociągów. Wiele gmin apelowało o ograniczenie zużycia wody. 20 lipca woda w dolnym biegu Sanu spadła do najniższego poziomu 89 cm, z tego powodu wodociągi odcięły ją zakładom przemysłowym. Czym pani tłumaczy tę sytuację?

Suszą. W mojej dziedzinie nauki mówimy o dwóch rodzajach suszy: hydrologicznej, dotyczącej wody powierzchniowej i hydrogeologicznej, dotyczącej wody podziemnej. Tę pierwszą można obserwować, druga jest niewidoczna. Przez 10 lat mówiliśmy w Polsce o suszy hydrologicznej, a od jakiegoś czasu do mediów przedostało się sformułowanie o suszy hydrogeologicznej. Etap braku wody w rzekach, np. Wiśle, już przeszliśmy, społeczeństwo przyzwyczaiło się do niego, tymczasem najbardziej ubywa wody pod ziemią. Odpowiadając na pana pytanie, mamy permanentną, wieloletnią, od ponad dekady suszę hydrologiczną, która z czasem przerodziła się w hydrogeologiczną.

Problemy z poborem i dostawami wody w gminach będą nam prawdopodobnie towarzyszyć co roku. Problemy wodociągów można podzielić na dwa rodzaje. Po pierwsze, tej wody jest faktycznie mniej w warstwie wodonośnej i jej zwierciadło opada coraz niżej. Aby spróbować to sobie wyobrazić, trzeba przywołać obraz ubywającej wody w jeziorze albo w rzece. Jeśli San spadł do 89 cm, to proporcjonalnie słup wody w warstwie też się obniżył, czyli wody jest mniej. Jej zwierciadło zalega jeszcze głębiej niż dotychczas. To przekłada się na gorszą jakość wody. Wyjaśnię to na banalnym przykładzie. Jeśli sok malinowy rozpuścimy w dużej butelce wody i w małej szklance, to w pierwszym przypadku nie dostrzeżemy zmiany koloru i smaku, natomiast w drugim woda stanie się radykalnie słodka i czerwona. To obrazuje proces zatężania się substancji. Im mniej wody, czy to w warstwie wodonośnej, czy w ujęciu, czy w zlewni, to tym więcej zostaje w niej soli. Dzieje się tak, bo woda podziemna nie jest destylowana; w niektórych przypadkach jest naturalnie mineralna, a nawet gazowana. Im mniej wody, przy tej samej ilość soli, tym gorsza jej jakość, w konsekwencji czego będziemy płacić więcej za jej uzdatnianie. Wodociągi w szczytowych momentach podaży wody, gdy mają jej fizycznie mniej, a na domiar złego, gdy jest ona gorszej jakości, muszą apelować o jej niemarnowanie. Problem dotyczy całej Polski.

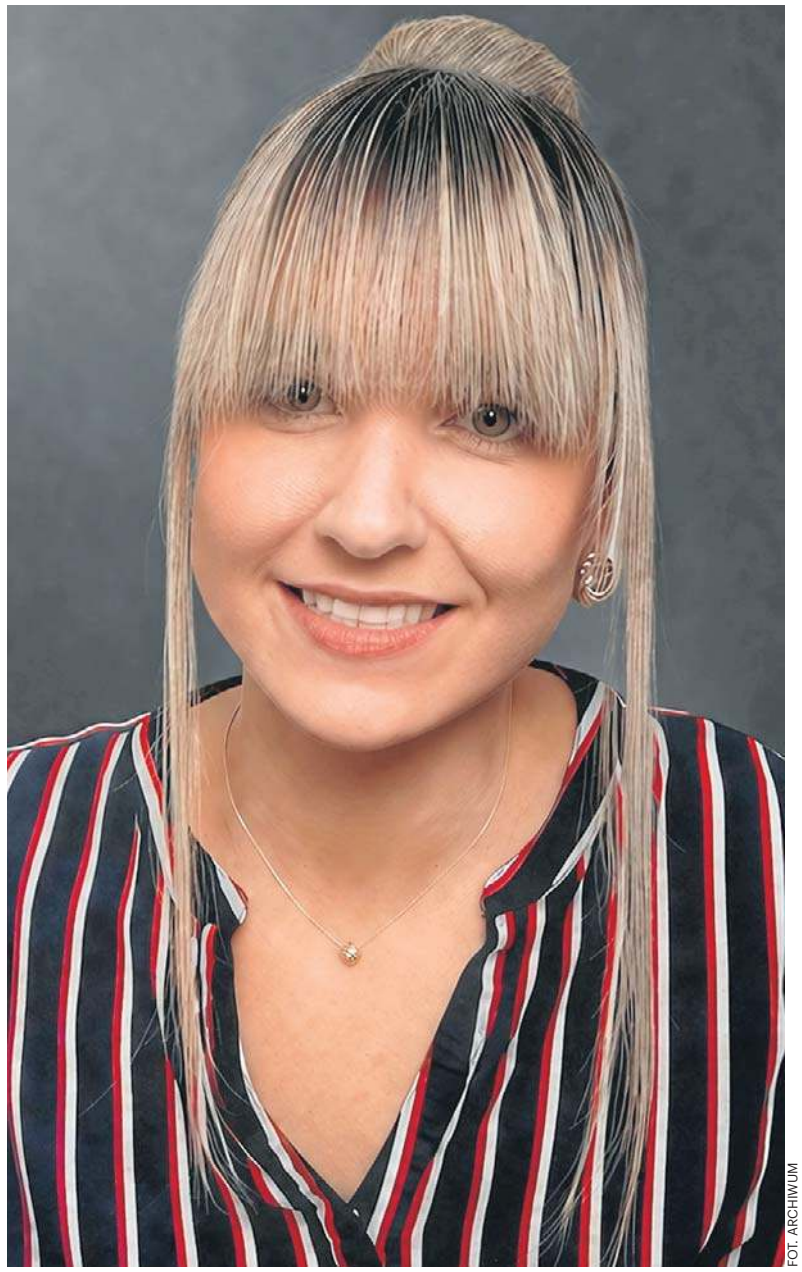

FOT. ARCHIWUM

Dorota Pierri: „Mamy permanentną suszę hydrologiczną, która z czasem przerodziła się w hydrogeologiczną"

Dlaczego stan wód podziemnych w Polsce jest niski? W jednym z wywiadów przyrównała pani naszą sytuację do sytuacji w Nigerii.

Nasze zasoby wodne są porównywalne do nigeryjskich. To medialnie brzmi świetnie, natomiast porównując Polskę do kraju afrykańskiego czy z południa Europy, musimy patrzeć również na jej dostępność i zasoby odnawialne. U nas dostępność wody jest trochę większa, i nie jest jeszcze tak droga, choć czasem w moim środowisku zawodowym mówi się, że gdyby woda była dużo droższa, to bardziej byśmy ją szanowali.

Susza zaszła tak daleko, gdyż zmienił się obieg wody w przyrodzie. Od dziecka byliśmy uczeni, że woda paruje, zamienia się w chmurę, po kondensacji dochodzi do opadów atmosferycznych, w zależności od pory roku spada deszcz albo śnieg i albo częściowo wsiąka w grunt, albo spływa do morza, albo paruje i cykl się zamyka. Natomiast teraz zabetonowaliśmy powierzchnię Ziemi, stworzyliśmy liczne strefy nieprzepuszczające wodę, czego najlepszym przykładem są miasta. Uniemożliwienie pochodzącej z opadu atmosferycznego wodzie swobodnej infiltracji, czyli wsiąkania, skutkuje tym, że ona ginie i nigdy nie zasila środowiska podziemnego. W ten sposób zasoby wodne nigdy się nie odbudują.

Tymczasem wody podziemne są jedynym złożem geologicznym, które ma możliwość odbudowania swoich zasobów. Dlatego możemy liczyć na to, że przy rozsądnej gospodarce wodnej odbudujemy zasób wody. Nie odbudujemy go wtedy, gdy będziemy zatrzymywać proces infiltracji wody, jej wsiąkania w płytkie warstwy wodonośne położone tuż poniżej powierzchni terenu. W strefach zurbanizowanych woda nie wsiąka, tylko od razu spływa do kanalizacji, a jeśli nawet spłynie do rzeki, to tworzą się powodzie natychmiastowe. Gdy woda trafia do koryta rzeki, to bardzo szybko nim przepływa, ale nie meandruje zakolami i nie nasyca środowiska, także podziemnego w cenną wodę. Podsumowując, albo mamy przesuszony grunt, albo powodzie.

Jak radzić sobie z suszą?

Indywidualne oszczędzanie wody (m.in. zakręcanie kurka podczas mycia zębów) dawało w latach 90. dobre wyniki i przedostało się do społecznej świadomości. Polacy myślą ekologicznie. Natomiast teraz trzeba apelować o to, by gospodarka zaczęła rozsądnie zarządzać zasobem wodnym. Nie szanujemy wody w rozumieniu całej gospodarki. Indywidualnie tak. Ale, ile ja jestem w stanie zaoszczędzić jako mieszkanka Krakowa, a ile gdy zarządzam trzema elektrowniami i jeszcze chcę rozwinąć pięć kopalni odkrywkowych? Oczywiście w tym drugim przypadku nieporównywalnie więcej. Dbanie o mądre zarządzanie wodą musi przejść do przemysłu i powoli tak się dzieje, bo firmy tracą nie oszczędzając wody. Wszelako trudno znaleźć złoty środek. Bo jeśli odejdziemy od górnictwa, czemu kibicuję, to czekają nas elektrownie jądrowe, które do chłodzenia reaktorów potrzebują jeszcze więcej wody.

Większość ujęć wody na Podkarpaciu jest powierzchniowych. Usłyszałem od samorządowców, że procedury wybudowania podziemnych ujęć są tak długie i drogie, że nie podejmują się tego. Czy pani się z tym zgadza? Czy ujęcia głębinowe uratowałyby sytuację?

Takie ujęcia w sytuacji małych miejscowości są dużo pewniejszym źródłem wody niż powierzchniowe. Natomiast duże aglomeracje muszą opierać się na ujęciach powierzchniowych. Wód podziemnych nie ma aż tyle, by mogły zabezpieczyć potrzeby mieszkańców Warszawy, Krakowa czy Wrocławia. Im mniejsza miejscowość, tym dużo większym i pewniejszym źródłem wody pitnej są wody podziemne. W dobie zmian pogodowych susza hydrologiczna będzie szybciej postępować niż hydrogeologiczna. Jeśli na powierzchni w zbiorniku ubędzie 5 metrów, to zwierciadło wody pod ziemią obniży się o pół metra, o metr. To jest inna skala problemów. Wody powierzchniowe ulegają też łatwo zanieczyszczeniu, co ociera się o tematykę bezpieczeństwa mieszkańców. Bardzo łatwo zanieczyścić rzekę czy też zbiornik. Dużo trudniej jest zanieczyścić wody podziemne, bo trzeba by zanieczyścić całą warstwę wodonośną, chyba że ktoś coś wleje do samej studni, do ujęcia. Są to miejsca monitorowane, zamknięte i nie jest łatwo je sforsować. Gdyby jednak doszło do za-

eprasa.pl d72073f4ec

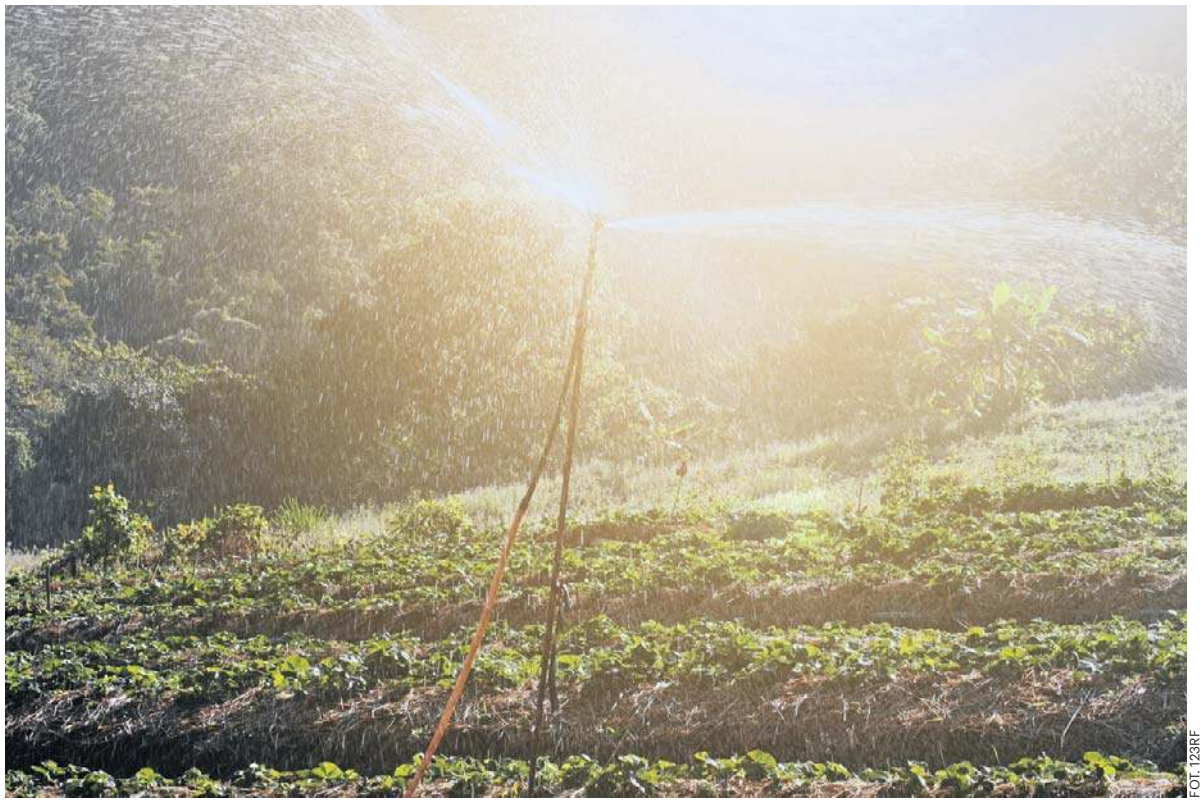

FOT. 123RF

Dorota Pierri: Odchodzi się od deszczownic, które prowadzą wodę najpierw do góry, później opada ona jak deszcz na roślinę. Moment wystrzelenia wody w powietrze sprawia, że połowa z niej paruje i ucieka

nieczyszczenia warstwy wodonośnej, to dużo trudniej wykryć takie zanieczyszczenie, a później je oczyścić. Często jest to niemożliwe. Trzeba czekać, aż woda naturalnie się wypłucze z toksyn. O ile wody powierzchniowe są podatne na skażenie, to łatwo je oczyścić, nawet gdybyśmy nic nie robili, to wystarczy poczekać, aż wypłyną one do Bałtyku i same się rozcieńczą. Kończąc odpowiedź, jeśli urzędnicy twierdzą, że obligatoryjne dokumenty obowiązujące wszystkich w Polsce tak samo stanowią przeszkodę do wybudowania podziemnych ujęć, to uważam to za naciągany argument. Wszystkie duże miasta mają dodatkowe ujęcia podziemne, natomiast małe ośrodki powinny czerpać wodę przede wszystkim ze złóż podziemnych. W niektórych miejscowościach na Podkarpaciu i w Małopolsce jest, czy też było popularne ujmowanie źródeł. To jest na pograniczu klasyfikowania, czy to są wody powierzchniowe, czy podziemne. Chodzi o punkt, w którym woda podziemna zmienia się w powierzchniową. Wioski na południe od Krakowa przez dekady używały tych źródeł, po niewielkim uzdatnianiu woda była kierowana do wodociągów. Teraz przy suszy hydrogeologicznej okazuje się, że nisza źródliskowa opadła, woda jest np. 5-10 metrów głębiej, źródło jest suche na powierzchni i trzeba w jego miejscu kopać studnię.

Przy braku wody cierpi rolnictwo. Jak susza wpłynie na tę część naszego życia?

Rolnicy będą musieli jeszcze więcej inwestować w celowane nawadnianie, żeby nie rozlewać wody po całym polu. Takie nawadnianie jest prowadzone po ziemi. Woda wypływa z dziurek w konkretnym miejscu, w takim, gdzie ma nawodnić daną roślinę. Odchodzi się bowiem od deszczownic, które prowadzą wodę najpierw do góry, później opada ona jak deszcz na roślinę. Moment wystrzelenia wody w powietrze sprawia, że połowa z niej paruje i ucieka. Jednak z brakiem opadów w okresach wegetacyjnych roślin, gdy one najbardziej ich potrzebują, nie jesteśmy w stanie walczyć. W tym roku susza znów uderzyła w uprawy kukurydzy. Rolnicy pokazywali, że kolby tych roślin bardziej przypominały popcorn niż prawdziwą kukurydzę. Co nas czeka? Czekają nas wysokie ceny za żywność, paliwo i energię (bo woda także jest wykorzystywana przy jej produkcji). Każdy z nas będzie zmuszony w końcu założyć klimatyzację w mieszkaniu. W tym roku mieliśmy po raz pierwszy ponad 40 st. C. To nie był przypadkowy wybryk, tylko prognozowana temperatura. Niewykluczone, że w przypadku mniejszych plonów będziemy musieli płacić za import warzyw, owoców, zbóż i mięsa do tej pory produkowanych w kraju. Straszne jest to, że nie tak łatwo jest zaadaptować rolnictwo do zmian klimatu. Nawet to, że w lipcu i sierpniu mamy 40 st. C, nie spowoduje, że będą u nas rosły ananasy i mandarynki, bo zbiera się je przecież zimą, a zimą panuje u nas mróz. Nowe odmiany owoców nie zaadaptują się w naszej szerokości geograficznej.

Wrócę do śniegu. Tworzy on mały obieg wody w przyrodzie. Wzrost temperatury na kuli ziemskiej przekłada się na brak pokrywy śnieżnej. Podstawowym źródłem infiltracji wody w strefach zasilania wód podziemnych, jest właśnie pokrywa śnieżna. Mechanizm jest taki, że musi spaść dużo śniegu, tyle ile przed 30 - 40 laty. Ta zmarznięta, związana woda w postaci śniegu, w naturalny sposób, przy lekkim wiosennym naświetleniu, wytapia się powoli przez 2-3 miesiące. Chodzi o powolne zwilżanie strefy aeracji, czyli strefy od powierzchni terenu do zwierciadła wody podziemnej. Jest to pierwsza strefa, która na co dzień jest wypełniona powietrzem. Ta strefa musi być cała zawilgocona. Dopiero wtedy każdy kolejny opad atmosferyczny wiosną i latem będzie mógł przez tę strefę swobodnie infiltrować w głąb i zmienić się w wodę podziemną. Jeśli ta strefa się nie zwilży, będziemy mieć do czynienia z takim przypadkiem jak podlewanie suchej od miesiąca doniczki. Wtedy woda stanie na powierzchni i, jak w strefach zabetonowanych, spłynie i nie będzie do odratowania.

Wielu Polaków przeniosło się na wieś i na przedmieścia. Jak mają dbać o wodę? Zbierając deszczówkę?

Oczywiście, że tak. Każde indywidualne działanie opłaca się. Prywatnie jestem zwolenniczką trochę innego zbierania deszczówki niż do baniaka pod rynną. Fascynuje mnie tworzenie, jak ja to nazywam, prywatnej warstwy wodonośnej. Deszczówkę można odprowadzać do gruntu, byle tylko on był zbudowany z przepuszczalnego materiału. Przy budowie domów jednorodzinnych niektórzy projektują pod ziemią magazyny żwiru, które później wypełniają wodą deszczową, a ta z kolei może być w dogodnej chwili wypompowana igłofiltrem z pompką. Takie rozwiązanie eliminuje parowanie i rozwijanie się flory. Pamiętajmy, że indywidualne działania pomagają w okresach największych upałów, gdy wodociągi nie są w stanie podawać do sieci wystarczającej ilości wody, i przekładają się też na zaoszczędzenie pieniędzy w gospodarstwie. Jeśli ktoś naprawdę musi podlewać ogródek, to niech to robi wieczorem lub z samego rana, by woda nie parowała. Jeżeli możemy, to zakładajmy przy domach i w miastach łąki kwietne, które nie wymagają koszenia. Bujniejsza roślinność trzyma więcej wilgoci. Mam znajomych, którzy zwlekają z montażem klimatyzacji. Zamiast niej puścili roślinność po elewacji domu i dzięki niej mają latem trochę niższą temperaturę. To rozwiązanie stosowane jest też w miastach. ©℗

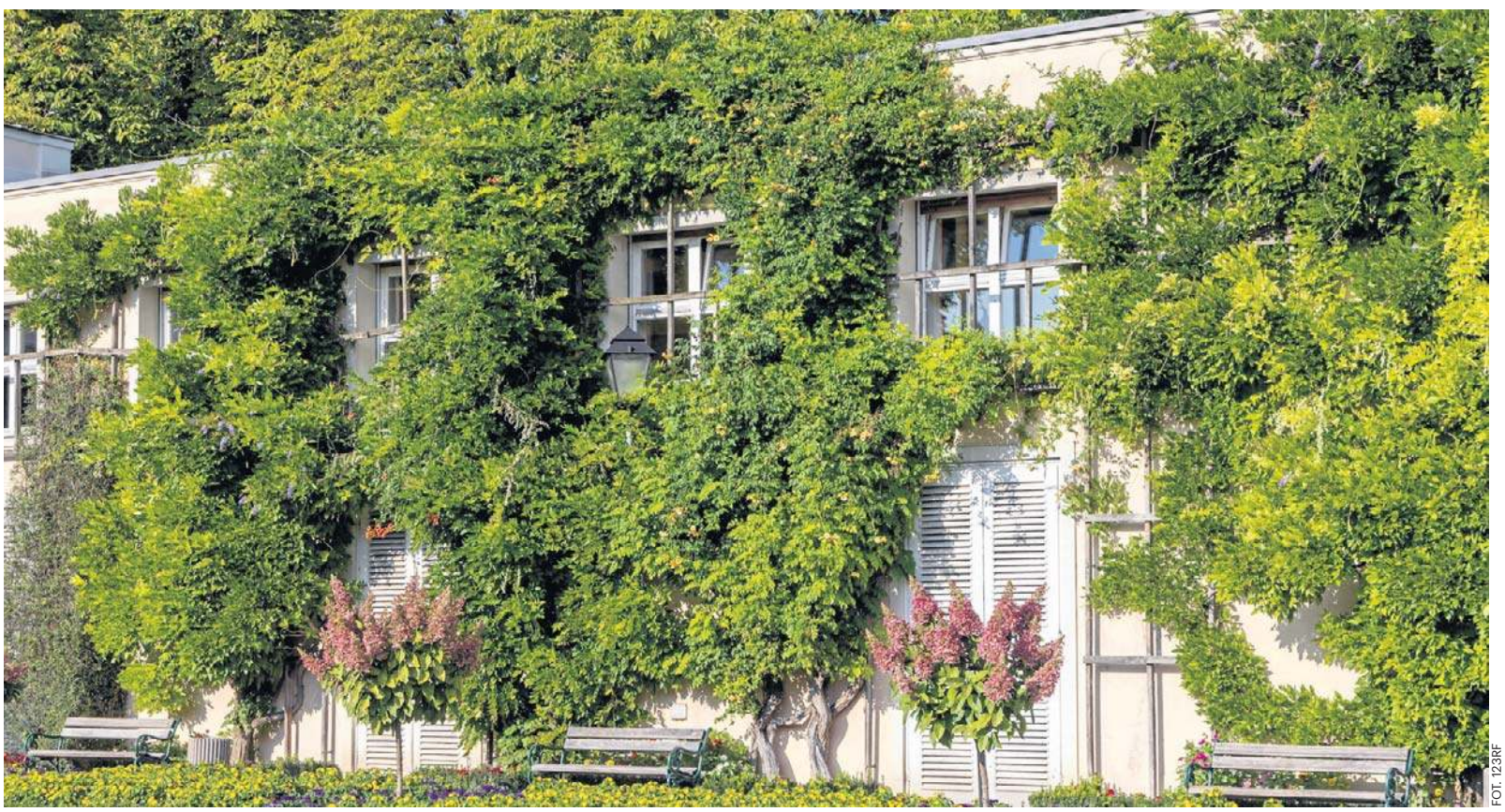

FOT. 123RF

Dorota Pierri: Bujniejsza roślinność trzyma więcej wilgoci. Mam znajomych, którzy zwlekają z montażem klimatyzacji. Zamiast niej puścili roślinność po elewacji domu i dzięki niej mają latem trochę niższą temperaturę. To rozwiązanie stosowane jest też w miastach

eprasa.pl d72073f4ec

FILM

Tomasz Schuchardt: Mam dziewięcioletnią córkę i na pewno na razie nie puszczę jej „Lalki”

W serwisie Netflix pojawił się właśnie serial „Lalka”, zainspirowany powieścią Bolesława Prusa. Rozmawialiśmy z Tomaszem Schuchardtem, wcielającym się w sześcioodcinkowej produkcji w postać Stanisława Wokulskiego

Paweł Gzyl

Poloniści twierdzą, że „Lalka” to jedna z niewielu klasycznych polskich powieści, które wywołują emocje wśród czytającej go współczesnej młodzieży licealnej. Tak było i w twoim przypadku?

Czytałem w liceum wszystkie lektury, ale sięgnięcie po „Lalkę” długo odwlekałem. Kiedy przerabialiśmy ją w drugiej klasie, prawdopodobnie wyłgałem się z pomocą „bryka”. Przed maturą stwierdziłem jednak, że wypada ją przeczytać. Chwyciłem „Lalkę” i pochłonąłem ją jednym tchem, a potem zaraz drugi raz. (śmiech) Tak mi się spodobała. Plułem sobie później w brodę, że tak długo ją omijałem. Może przez ten swój tytuł „Lalka” początkowo wydawała mi się lekturą dla dziewczyn. Po przeczytaniu zrozumiałem, że jest też bardzo dla chłopaków.

Jak zapamiętałeś postać Wokulskiego z tych szkolnych czasów?

Na pewno zapamiętałem jego czerwone ręce. I bardzo chciałem, żeby zostały pokazane w serialu. Pamiętam też, że choć Wokulski był postacią z pozytywistycznej powieści, w moich szkolnych czasach był odczytywany przez polonistów romantycznie. Byłem szczerze zaskoczony, kiedy dowiedziałem się, że następne pokolenie postrzega go już w zapożyczonych z angielskiego kategoriach typu „stalker” czy „creep”. Ja zapamiętałem go przede wszystkim jako faceta, który był beznadziejnie zakochany. Do tego stopnia, że poświęcił wszystko dla miłości, która okazała się mrzonką.

Co sprawiło, że zechciałeś zagrać tę postać?

Wokulski został mi zaproponowany bez castingu. Kiedy ktoś myśli właśnie o tobie w kontekście opowiedzenia historii, to dla aktora jest niezwykle nobilitująca sytuacja. Ale „Lalka” to były lata przygód. Po raz pierwszy usłyszałem o tym, że ktoś chce ponownie zekranizować powieść Prusa na długo przed tym, zanim robienie „Lalek” stało się modne. (śmiech) Początkowo miał ten serial produkować Michał Kwieciński. Podczas jego rozmowy z reżyserem, który miał się tym zająć, padło moje nazwisko. Byłem wtedy po „Wielkiej wodzie” i zaczynałem mieć dużo pracy. Michał zadzwonił więc, bo uznał, że musi mnie zarezerwować dla roli Wokulskiego. Kiedy usłyszałem tę propozycję, od razu pomyślałem: „Może to jest moje ukryte marzenie?”. Bo już w pierwszym momencie przeszedł mnie dreszcz ekscytacji. Ale wtedy to dopiero był pomysł i do jego realizacji wiodła jeszcze długa droga. Potem zmienił się reżyser i nagle dowiedziałem się, że Paweł Demirski będzie pisał scenariusz, a serial wyprodukuje syn Michała – Janek Kwieciński. Nikt mnie wtedy już nie chciał wymienić, zapytano więc tylko, czy nadal jestem na pokładzie. Potwierdziłem – i dopiero po jakimś czasie usłyszałem, że reżyserować będzie Paweł Maślona. Wtedy zaczęły się castingi do pozostałych ról, w których aktywnie uczestniczyłem. Byłem więc w tym projekcie od samego początku.

Scenarzyści serialu Netflixa postanowili opowiedzieć „Lalkę” na własny sposób. Co ci się najbardziej spodobało w ich oryginalnym pomyśle na interpretację tej powieści?

Przede wszystkim spodobało mi się, że ta historia została inaczej opowiedziana niż u Prusa. Skoro mamy już książkę i dwie adaptacje, to po co robić coś takiego samego? Wielu ludzi oczekuje od ekranizacji przeniesienia powieści jeden do jednego. Tymczasem dla mnie przyłożenie innych akcentów i dopisanie nowych wątków nie jest niczym złym, tylko czymś ,co pozwala spojrzeć na tę uniwersalną historię trochę inaczej, świeżo i na nowo. Spodobało mi się też w tym scenariuszu, że bohaterowie Prusa zostali potraktowani z miłością. To bohaterowie w pełni „prusowscy”. Po wypuszczeniu trailera odezwały się głosy, które twierdziły, że podchodzimy do tej powieści z brakiem szacunku i zmieniamy ją, bo została źle napisana. (śmiech) Tymczasem jest dokładnie odwrotnie – scenarzyści, szanując klasykę, dyskutują z nią. Dzieła wybitne – jak „Lalka” – są tak bogate, wielowymiarowe i zakorzenione w wyobraźni autora, że każda ich próba wiernej adaptacji często kończy się porażką. Film to medium, które posługuje się m.in. obrazem, montażem i skrótem. Potrzebuje więc własnego języka.

Największy wpływ na kształt tej serialowej opowieści miał chyba Paweł Demirski.

Paweł Demirski jest znany z teatralnych dokonań, w których reinterpretował na swój sposób polską klasykę. Kiedy spotkaliśmy się z nim przed wejściem na plan, powiedział, że zobaczył w powieści Prusa potencjał, aby opowiedzieć tę historię poprzez humor. I właśnie to dostajemy w tym serialu, jednocześnie z zachowaniem miłości do bohaterów, ich charakterów, namiętności i uczuć.

A Paweł Maślona?

Paweł miał jeszcze inne podejście. On uważa, że kiedy bierze się jakąś powieść do zekranizowania, to ważne jest, aby w niej znaleźć film. A wcale nie jest to takie oczywiste, bo nie każda książka ma w sobie ten potencjał. Wiele jest takich, które są dla filmu za trudne, zbyt chaotyczne lub po prostu nieciekawe. I chwała im za to, bo od tego jest właśnie literatura. Kiedy czytamy jakąś książkę, pracuje nasza wyobraźnia. U każdego inaczej. Kiedy natomiast przystępuje się do ekranizacji powieści, należy stworzyć fabułę – bohaterów oraz konflikty, które nimi powodują – i opisać ją obrazem, który stanie się wspólnym doznaniem wielu widzów.

Jak to zadziałało w serialu?

Tam jest oczywiście dużo zmian, jeśli chodzi o treść książki. Niektóre rzeczy są podkreślone, a inne – przesunięte w tło. Czymś takim jest walka klasowa, ta pozytywistyczna myśl, że pracą u podstaw możemy zmienić nasze życie. Tłem jest także to, że Wokulski walczył w Powstaniu Styczniowym, że dorobił się na wojnie, że jest patriotą, że bardzo interesują go wynalazki i cała rewolucja przemysłowa. W serialu jest tego mało, bo nasza opowieść miała się skupić na człowieku i jego namiętnościach. Dużo bardziej przyłożyliśmy się do rozbudowania charakterów poszczególnych postaci. Oczywiście zawsze jest coś za coś. Albo szczegółowe opowiadanie o historii i niuansach epoki zabierze nam czas ekranowy, przeznaczony na pokazanie emocji bohaterów, albo tło historyczne potraktujemy faktycznie jak tło, a tchniemy w zamian większe życie w postacie. My postawiliśmy na to drugie, dlatego w serialu każdy z bohaterów jest pełnokrwisty i ma swój koloryt, dzięki czemu my aktorzy mieliśmy tam naprawdę dużo do zagrania.

O ile w powieści Wokulski jest pozytywistą z sercem romantyka, tak tutaj jest kapitalistą, który postrzega świat w kategoriach zysku i straty. Tak zarysowana postać będzie bliższa widzowi z XXI wieku?

Nie zgadzam się z tą interpretacją. Oczywiście Wokulski ma cechy kapitalisty, bo wie, gdzie i jak zdobywa się pieniądz. Pokazuje jednak tę stronę swej osobowości tylko przed klasą wyższą, do której aspiruje. Ale nie do końca kapitalistycznie postępuje ze swoim majątkiem: jest w stanie roztrwonić go na to, co jest dla niego najważniejsze – na tę chorobliwą miłość. Trochę innego Wokulskiego poznajemy w serialu na początku, a trochę inaczej z nim kończymy. Podobnie jest zresztą z Łęcką, która w książce jest dość płaska, natomiast w filmie przechodzi niezwykłą metamorfozę. Trzeba też postrzegać te postaci nie z dzisiejszej perspektywy, ale pamiętając w jakich czasach żyli i jakie mieli możliwości. Kiedy się o tym zapomina, patrzy się na nie bez tej wspomnianej miłości i szacunku.

Przez większą część serialu Wokulski jawi się widzowi jako ktoś tajemniczy i wręcz niebezpieczny. Jest powściągliwy i małomówny. To było dla ciebie utrudnieniem w tworzeniu tej postaci?

To efekt zabiegów Pawła Maślony, poczynionych w montażu. Ale bardzo mi się to podoba. Chcieliśmy bowiem utrzymać tajemniczość Wokulskiego jak najdłużej. Z drugiej strony zależało nam, aby widz dostrzegł, że jego zadurzenie w Łęckiej jest prawdziwe. To nie jest jakaś dziwna gra czy założenie. Wokulski nie potrafi jedynie odpowiednio dobrać środków, by wyrazić to, co naprawdę czuje. Była jednak scena, która nie weszła do serialu, a trochę inaczej ustawiała Wokulskiego. Stwierdziliśmy jednak przy finalnym montażu, że to nie jest dobra droga, by go tak pokazać. Bo jawił się w niej jako osoba, która wszystko robi z wyrachowania. To była zaledwie jedna scena, która pozwalała tak odczytywać tę postać. Usunęliśmy ją – ściślej mówiąc reżyser to zrobił (śmiech) – i słusznie. W efekcie widz inaczej postrzega Wokulskiego. Na tym polega siła montażu. Pawłowi zależało bardzo na silnych postaciach kobiecych. Dlatego musieliśmy trochę przebudować moją postać: na początku zabrać jej nieco sprawczość, aby podkreślić sprawczość Łęckiej. Bo i tak wszystko później ładnie puentuje się w szóstym odcinku. Łęcka uczy się przez działanie, a Wokulski – przez obserwowanie. W ten sposób pokazujemy dwie odrębne postawy wobec życia.

Często podkreślasz w wywiadach, że budujesz każdą postać z siebie: ze swoich emocji, przemyśleń czy doświadczeń. Ile siebie zobaczyłeś w tym netfliksowym Wokulskim?

To nie do końca tak. Na pewno nie jest tak, że grając w scenie pogrzebu, muszę przypominać sobie pogrzeby, w których sam uczestniczyłem. (śmiech) Tu chodzi bardziej o to, że podstawowym narzędziem aktora do budowania roli jest jego własne ciało. Dlatego tworząc jakiegoś bohatera, podkręcam potrzebne mi do tego jedne cechy, które mam w sobie, a drugie – ograniczam. To są choćby te czerwone ręce, które kazałem sobie kolorować każdego dnia zdjęciowego, bez względu na to, czy było to potrzebne czy nie. Ale to są też moje emocje, które staram się rozumieć tak, jak ja je rozumiem. Niekoniecznie musiałem być w życiu beznadziejnie zakochany, aby zagrać Wokulskiego. Wystarczyło mi odnaleźć w sobie to, gdzie by to było we mnie, gdybym tak miał. Jakbym się zachowywał, gdybym był w takiej sytuacji jak Wokulski. To oczywiście nie jest takie proste.

Jak było w tym przypadku?

Na początku zawsze mocno wnikam w literę tekstu. Dlatego na nowo przeczytałem „Lalkę”. Potem były rozmowy z reżyserem, scenarzystą i z innymi aktorami. Do tego mieliśmy warsztaty z panią, która uczyła savoir-vivre’u z XIX-wiecznych salonów. Kiedy nasiąkłem tym wszystkim, następował kolejny niezbędny etap w kreowaniu postaci – zapominanie o tym, czego się dowiedziałem, aby myśleć jej emocjami. Bo i tak podprogowo całe te przygotowania wychodzą podczas grania sceny. Ja mam takie podejście: najpierw solidnie się przygotować, a potem zaufać instynktowi na planie. Bo ten instynkt nie odpływa w żadne dziwne rejony przez to, że mam bardzo dobrze zrobiony cały background.

eprasa.pl d72073f4ec

Dwie dotychczasowe wersje filmowe „Lalki" mocno wryły się w świadomość starszych pokoleń. Obejrzałeś je i chciałeś się w swej pracy jakoś odnieść do kreacji Jerzego Kamasa i Mariusza Dmochowskiego sprzed lat?

Serialową „Lalkę" z Kamasem pamiętam z dzieciństwa. Pewnie gdzieś leciała w telewizji, jak inne peerelowskie seriale w rodzaju „Czterech pancernych" czy „Klossa". Została mi w głowie z tego tylko twarz Kamasa. Tej ekranizacji z Dmochowskim chyba nie widziałem nigdy. Przed samym wejściem na plan nie oglądałem w ramach przygotowań ani jednej, ani drugiej. Ja nie robię takich rzeczy. Nie chcę się „infekować" interpretacją innego twórcy. Zwłaszcza, że mamy źródło – powieść Prusa. Ono było dla mnie najważniejsze. Jego interpretacje w ogóle mnie nie interesowały, bo nie chciałem się czymkolwiek sugerować. Nigdy nie podchodzę do jakiegoś aktorskiego zadania w taki sposób, że z czymś czy z kimś się mierzę. Oczywiście, ludzie będą mnie porównywać z Kamasem czy Dmochowskim, a za chwilę z Dorocińskim. Żyję już trochę na tym świecie i wiem, że części osób przypadnę do gustu, a części – nie. Nie mam więc zamiaru z tym walczyć. Ja zawsze chcę zagrać swą rolę najlepiej jak umiem. Kiedy potem oglądam siebie na ekranie, mam czasem wrażenie, że mogłem zrobić coś lepiej. A tutaj po raz pierwszy jestem w pełni zadowolony z tego, co powstało.

Paweł Maślona od początku szukał aktora, który potrafiłby przełamać tradycyjne myślenie o Wokulskim. Dużo wolności otrzymałeś w tworzeniu tej postaci?

Praca z Pawłem to marzenie każdego aktora. Poznałem go dosyć wcześnie – był asystentem Marcina Wrony przy „Chrzcie", w którym debiutowałem. Potem był współscenarzystą „Demona", ale nie nakręciliśmy nic razem, mijaliśmy się tylko prywatnie. Jak kumpel z kumplem. I nagle po tych wszystkich latach, spotkałem go na planie „Lalki", ceniąc jego myślenie o świecie i poczucie humoru. I podczas tej wspólnej pracy otworzyły się przede mną takie przestrzenie, których zupełnie się nie spodziewałem. Paweł korzysta na planie z czegoś, co się nazywa clamshell – monitora bezprzewodowego, który można nosić ze sobą. Dzięki temu był zawsze blisko kamery i mógł uczestniczyć w każdej scenie. To pozwalało mu na gorąco reagować i na świeżo dawać uwagi aktorom, przejmując ich emocje. Kiedy potrzebował radosnej sceny, był w takim samym stanie euforii jak my. I na odwrót: kiedy była smutna i trudna do zagrania sekwencja, Paweł też w to wchodził, będąc jakby dodatkowym aktorem. W efekcie schodził z planu tak samo zmęczony jak my. (śmiech) Scenę kłótni Wokulskiego i Łęckiej z ostatniego odcinka kręciliśmy w pałacyku pod Wałbrzychem przez trzy dni. To była ciężka praca, ale do przeżycia, bo Paweł był z nami. Mało tego: po zejściu z planu siedzieliśmy jeszcze w nocy pod hotelem, zastanawiając się co jutro moglibyśmy zrobić, żeby było lepiej. Coś takiego rzadko się zdarza. Paweł dawał nam mnóstwo energii z siebie, ale też czerpał ją z nas. Uzupełnialiśmy się w ten sposób i było to wspaniałe.

Kluczowym wątkiem powieści jest oczywiście miłość Wokulskiego do Łęckiej. Początkowo nie wiadomo czy Wokulski kocha ją szczerze, czy traktuje przedmiotowo jako klucz do awansu społecznego. Ta niejednoznaczność tej relacji była dla ciebie istotna przy tworzeniu postaci Wokulskiego?

Tu ważne było kolejne spotkanie – tym razem z Sandrą Drzymalską. To wspaniała aktorka. Tuż przed „Lalką" zagraliśmy małżeństwo w serialu „Breslau". Wspieraliśmy się więc na planie – a najbardziej podobało mi się to, że w momentach, kiedy mój bohater był nie do końca cool, Łęcka przykrywała to swoim postępowaniem. I odwrotnie. A wynika to ze starej teatralnej zasady, głoszącej, że „króla buduje dwór". Wszystko to przenika się ze sobą aż do szóstego odcinka, w którym spotyka się i wyjaśnia. Tam następuje zderzenie i oczekiwana konfrontacja, która oczyszcza nie tylko atmosferę, ale daje też oddech widzowi, który czeka na nią przez sześć odcinków.

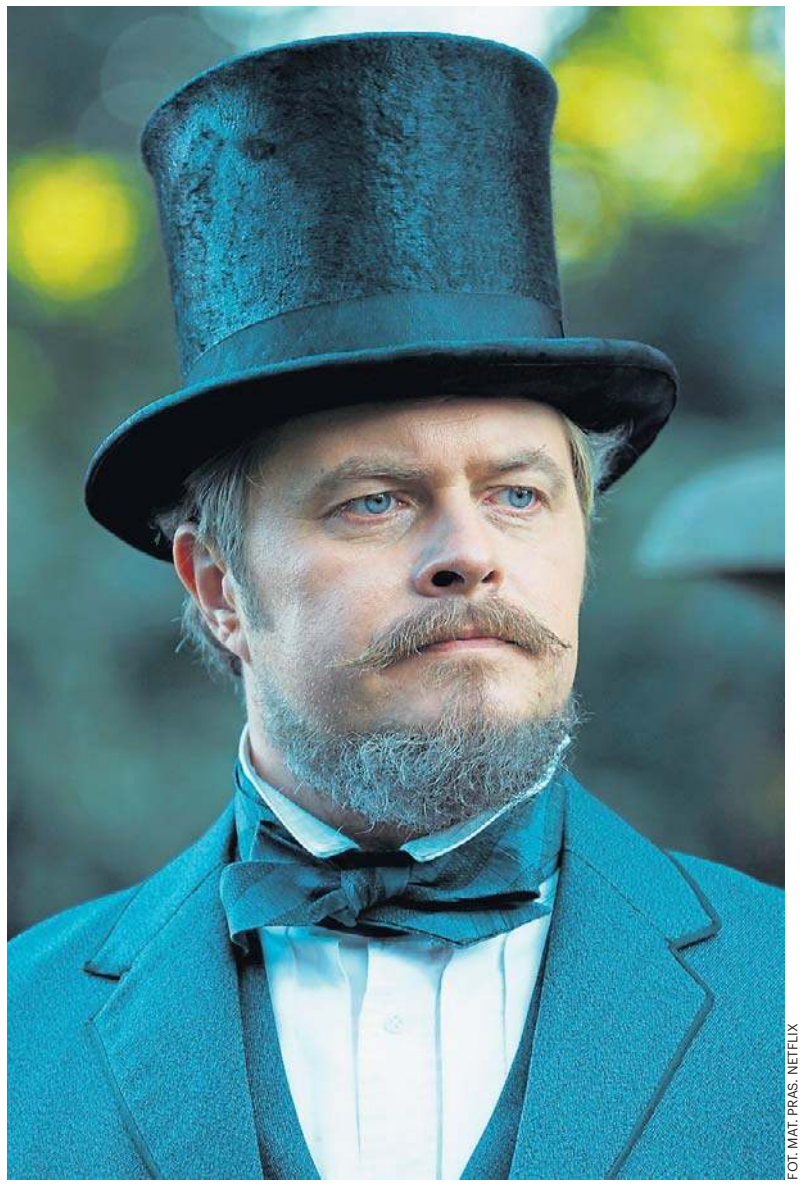

FOT. MAT. PRAS. NETFLIX

Tomasz Schuchardt: Niekoniecznie musiałem być w życiu beznadziejnie zakochany, aby zagrać Wokulskiego. Wystarczyło mi odnaleźć w sobie to, gdzie by to było we mnie, gdybym tak miał

Bohaterowie serialu posługują się współczesnym językiem. To był dobry pomysł?

Dobrze by było zapytać o to profesora Miodka czy Bralczyka. Netflix zorganizował mi rozmowę z moją polonistką i wychowawczynią z czasów liceum – Katarzyną Budną. Zobaczyliśmy się pierwszy raz od szesnastu lat. Ponieważ obejrzała wcześniej serial, spytałem czy bardzo drażnił ją ten współczesny język w ustach bohaterów „Lalki". Liczyłem trochę na burę, a tu tymczasem ona powiedziała z totalnym uśmiechem: „Tomek, język polski jest bardzo pojemny. Jest w nim miejsce na wulgaryzmy, ale i na wyszukane słownictwo". Okazało się, że z perspektywy polonistki i fanki „Lalki" w ogóle jej to nie przeszkadzało, bo historia była na tyle interesująca, że już po pierwszych minutach przestała porównywać go z oryginalnym tekstem Prusa.

Wiedzieliście na pewno, że równolegle powstaje kinowa wersja „Lalki". Podobno wręcz mijaliście się w lokacjach. Miało to wpływ na atmosferę pracy na planie serialu?

Myślę, że nie. Nie dało się nie mieć takiej świadomości, bo przy kinowej „Lalce" wybrano taki rodzaj promocji, że co dwa tygodnie dowiadywaliśmy się o nowych gwiazdach w jej obsadzie. (śmiech) Do tego nasza branża w Polsce jest nieduża i ja z moim doświadczeniem znam chyba wszystkich aktorów, którzy zagrali w tamtym filmie. Prawie z wszystkimi gdzieś się przeciąłem. Znam też bardzo dobrze operatora. (śmiech) To są oczywiście wybitni twórcy, więc spodziewam się, że to będzie bardzo dobry film. My wybraliśmy inną drogę: wiedzieliśmy, że mamy prawdziwą perełkę i jeśli włożymy w nią wysiłek, który włożyliśmy, to będzie coś naprawdę wybitnego. I na tym się skupiliśmy – na naszej robocie. Myślę, że tak samo było na planie kinowej „Lalki". A że spotkamy się z różnymi opiniami, to jesteśmy na to przygotowani, bo przecież na tym polega ten zawód.

Kiedy się zaczyna odtwarzać serial w Netflixie, pojawiają się ostrzeżenia: „Seks, przemoc, środki odurzające, wulgaryzmy". Jak zareagują na taką „Lalkę" widzowie?

To jest znak czasów. Takie ostrzeżenia kojarzą mi się z coraz dłuższymi ulotkami do lekarstw. Teraz nawet witamina C ma całą listę działań niepożądanych. (śmiech) Gdyby dziś wziąć „Titanica", to też byłyby ostrzeżenia, że jest tam seks i przemoc. Ale ja to popieram: nigdy dość chronienia młodego widza. Żyjemy w czasach kultu przemocy i seksualizacji, który jest zasługą nie filmów, ale różnych programów telewizyjnych i internetowych. Nasz serial jest dla widzów od 16. roku życia. Ja mam dziewięcioletnią córkę i na pewno na razie nie puszczę jej „Lalki". Wiele osób po premierze trailera serialu było oburzonych, że kalamy polski język. Tymczasem to nieprawda. Są wulgaryzmy, ale na pewno nie jest to język z blokowiska lat 90. Jeśli chodzi o czystość języka, to wszyscy jesteśmy mądrzy, dopóki wstając rano nie uderzymy się w palec od stopy. Wtedy nie ma lepszego słowa niż to na „k", które oddawałoby trafniej, co czujemy. (śmiech) I my właśnie poszliśmy tym tropem.

Na pewno największe emocje wywoła finałowy odcinek. Cała opowieść nagle zamienia się w nim w kryminalną komedię w duchu filmów Quentina Tarantino czy Guya Ritchiego. Jak ci się to spodobało, kiedy czytałeś scenariusz?

Pomyślałem sobie, że nie moglibyśmy sobie wymarzyć lepszego zakończenia. Byłem więc w nim zakochany już na etapie wstępnej wersji scenariusza. Potem przy próbach stolikowych uległ on jednak dosyć mocnym zmianom. Paweł bardzo liczył na nasze opinie i głosy. Każdy z aktorów miał z nim indywidualne próby i wtedy mogliśmy coś zmienić i poprawić. Paweł dużo brał z tych rozmów i ciągle coś zmieniał. Zdarzało się, że działo się to nawet już na samym planie. Była to więc ciągła praca. Ten główny wątek nie zmieniał się jednak i ta puenta jest bardzo mocna: niejednoznaczna oraz zostawiająca możliwość różnych interpretacji i pewien niedosyt.

Czyli apetyt na ciąg dalszy.

(śmiech) Na ciąg dalszy, który nie następuje. Ale ja lubię takie poczucie niedosytu, kiedy po obejrzeniu jakiegoś dobrego serialu, mówię: „Kurde, naprawdę nie będzie drugiego sezonu?". Bo czasem jest tak, że ktoś produkuje te kolejne sezony, a to nie ma większego sensu. Tutaj nie ma wątpliwości, że to „Lalka" – i my mocno bazujemy na powieści. Co ciekawe: Prus publikował ją pierwotnie w odcinkach w prasie i my teraz też mamy ją w odcinkach. To taki dodatkowy smaczek.

Mam wrażenie, że wasza „Lalka" jest dla młodego widza, a kinowa „Lalka" będzie dla starszych pokoleń. Zgodzisz się?

Nie widziałem jeszcze kinowej „Lalki", więc nie mogę wypowiadać się na ten temat. Jeśli założymy, że będzie ona bliska książki, to obejrzą ją nie tylko starsi widzowie, ale też młodzież, choćby uczniowie liceum. (śmiech) Nie oznacza to, że nasza „Lalka", będąc atrakcyjną dla młodych ludzi, nie spodoba się komuś starszemu. Moja nauczycielka polskiego jest o pokolenie starsza ode mnie, a serial bardzo jej się spodobał. Nie lubię, kiedy dziennikarze kategoryzują, że coś jest dla tych, a coś jest dla tamtych, bo możemy w ten sposób wykluczyć tych, którzy trochę inaczej się czują. Znam przecież wielu starszych ludzi, którzy są młodzi duchem – i na odwrót. Poza tym, naszą „Lalkę" nie zrobili ludzie z pokolenia Z. Paweł i ja mamy koło czterdziestki, Sandra ma 33 lata. To nie są nastolatkowie. Jeśli ktoś jest otwarty na świat i nie ma tendencji do oceniania, a w zamian cechuje go skłonność do autorefleksji, to myślę, że spodoba mu się ten serial. Bez względu na to w jakim jest wieku. Bo to po prostu uniwersalna opowieść.

eprasa.pl d72073f4ec

FOKUS

• **Prezydent Karol Nawrocki** spotka się dziś z szefem MON i szefem Sztabu Generalnego WP

POLITYKA

Maciej Berek czeka na ruch prezydenta. Prezydent wysyła zapytania do Sejmu

Maciej Berek został wybrany przez Sejm na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Prezydent ma do jego kandydatury wątpliwości. Spór trwa

Dorota Kowalska

Ta decyzja premiera wzbudzała spore kontrowersje. Donald Tusk – mimo zastrzeżeń, także prawników – postawił na swoim: Maciej Berek, jego zaufany człowiek, minister do spraw nadzoru nad wdrażaniem jego polityki, pożegnał się z rządem i został kandydatem na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Na początku września Sejm zagłosował za jego kandydaturą.

Teraz ślubowanie od Macieja Berka powinien odebrać prezydent, ale nie odbiera. Za to szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki poinformował, że podpisał pismo skierowane do marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego z pytaniami dotyczącymi „wyjaśnienia okoliczności procedowania formalnie kandydatury" Berka na sędziego TK. Jak twierdzi Bogucki „są gigantyczne wątpliwości co do tego, czy pan minister Berek ma dziesięcioletni staż radcy prawnego".

„Najpoważniejszym zarzutem jest brak potwierdzenia, że spełnia on wymóg wykonywania w Polsce przez co najmniej dziesięć lat zawodu radcy prawnego" – czytamy w dokumencie.

W imieniu parlamentu, prezydentowi i jego współpracownikom odpowiedział Marek Siwiec, szef Kancelarii Sejmu.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Plan Donalda Tuska był prosty: Maciej Berek, jego prawa ręka, został wysłany do TK, aby zaprowadzić w nim porządek

„Konstytucja nie przewiduje udziału Prezydenta RP w procedurze wyboru sędziego TK przez Sejm. Marszałek Sejmu oczekuje niezwłocznego przyjęcia ślubowania od sędziego Macieja Berka, wybranego przez Sejm 4 września" – zauważył. „Skierowane do marszałka Sejmu pismo kwestionujące prawidłowość wyboru przez Sejm pana Macieja Berka na stanowisko sędziego Trybunału Konstytucyjnego nie ma oparcia w jakichkolwiek przepisach prawa powszechnie obowiązującego o charakterze materialnoprawnym czy proceduralnym" – czytamy dalej w piśmie skierowanym do Kancelarii Prezydenta.

W piśmie wskazano, że przepisy konstytucji „kategorycznie wykluczają możliwość oceniania przez prezydenta zasadności dokonanego przez Sejmu wybory sędziego TK.

Ale dyskusja o kompetencjach Macieja Berka trwała także w mijającym tygodniu.

Rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz, pytany w środę, kiedy Berek może spodziewać się zaproszenia na zaprzysiężenie, powiedział, że najpierw „przede wszystkim należy rozwiać wszelkie wątpliwości dotyczące spełnienia wymogów formalnych przez pana Macieja Berka".

Jeszcze tego samego Maciej Berek w TVP Info odpowiedział Leśkiewiczowi.

– Ja jestem pierwszą osobą, która jest zainteresowana, żeby tę dziwną dyskusję przeciąć. To jest proste, ponieważ wykonywanie przeze mnie zawodu radcy prawnego jest udokumentowane w jedynym miejscu, w którym może być udokumentowane, czyli w ewidencji radców prawnych. Jako radca mam obowiązek takie informacje przekazywać Okręgowej Izbie Radców Prawnych – powiedział. – To jednak nie jest problem. Gdyby ktoś z otoczenia prezydenta chciał, to takie dokumenty by znalazł. Ja je przedstawiałem, tłumaczyłem, one są publicznie dostępne – dodał.

Jednocześnie zaznaczył, że jego obowiązkiem, jako sędziego TK, jest złożenie ślubowania. – Prezydent tu niczego nie przyjmuje, ani nie odmawia przyjęcia. Ja jako sędzia wybrany przez Sejm mam prawny obowiązek złożenia ślubowania pod rygorem, że jeśli zostanie uznane, że uchylam się od tego obowiązku, to oznacza, że się zrzekam urzędu – tłumaczył.

PAP

KRÓTKO

Warszawa

Polski paszport dla laureata nagrody Nobla

Amerykański biolog molekularny Victor Ambros i laureat Nagrody Nobla został obywatelem Polski – poinformował w serwisach społecznościowych premier Donald Tusk. Naukowiec ma polskie korzenie – jego ojciec urodził się w przedwojennej Polsce na Wileńszczyźnie. „Mam dla ciebie świetną wiadomość: jesteś Polakiem z polskim paszportem. Jesteś obywatelem kraju, który jest najlepszym miejscem na Ziemi, a przynajmniej tak uważam" – powiedział premier na filmie, opublikowanym w serwisie X. Noblista podkreślił, że to dla niego zaszczyt oraz że jest zaszczycony, że premier znalazł czas, by do niego zadzwonić.

Katowice

Akty oskarżenia przeciwko mafii śmieciowej

Prokuratura w Katowicach skierowała do sądu dwa akty oskarżenia przeciwko członkom zorganizowanej grupy przestępczej odpowiedzialnym za powstanie 26 nielegalnych składowisk niebezpiecznych odpadów. W sprawie oskarżono łącznie 12 osób. Według ustaleń śledztwa członkowie grupy gromadzili odpady pochodzące od 63 wytwórców i składowali je w nieprzeznaczonych do tego celu pojemnikach, stwarzając zagrożenie dla ludzi i środowiska.

Nowy Targ

Zarzuty dla nożownika z Nowego Targu

Dwa zarzuty usiłowania zabójstwa usłyszał 45-letni mieszkaniec powiatu nowotarskiego, podejrzany o zaatakowanie nożem dwóch mężczyzn w Nowym Targu – poinformowała w czwartek małopolska policja. Sąd zastosował wobec podejrzanego trzymiesięczny areszt.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Pałac prezydencki rości sobie prawo do bycia królem Rzeczpospolitej. Nie mamy takiego ustroju. (...) Oni nie są „nad"

BARBARA NOWACKA
minister edukacji narodowej

DROGI

Wiceminister o opłatach za autostrady

oprac. Mariusz Michalak

Ministerstwo Infrastruktury nie pracuje nad wprowadzeniem opłat dla samochodów osobowych i motocykli na autostradach zarządzanych przez GDDKiA.

Wiceszef resortu Stanisław Bukowiec zapewnił w Sejmie, że obecne zasady pozostają bez zmian.

– Nie są również planowane działania, które miałyby prowadzić do wprowadzenia takich opłat w dającej się przewidzieć przyszłości. Autostrady pozostające w zarządzie Generalnego Dyrektora Dróg Krajowych i Autostrad są bezpłatne dla kierowców samochodów osobowych i motocykli – powiedział Bukowiec.

Wiceszef resortu infrastruktury zaznaczył, że w przypadku odcinków autostrad zarządzanych przez koncesjonariuszy opłaty są pobierane na mocy umów zawieranych przed laty, a zakres uprawnień MI dotyczących określania wysokości opłat zależy od warunków konkretnej umowy. **PAP**

WARSZAWA

Dron blisko polsko-ukraińskiej granicy

oprac. Karolina Wrońska

Rzecznik Dowództwa Operacyjnego RSZ ppłk Jacek Goryszewski przekazał PAP w czwartek, że 4 km od granicy polsko-ukraińskiej najprawdopodobniej spadł lub został zestrzelony dron.

W czwartek przed południem mieszkańcy powiatów w woj. lubelskim i podkarpackim otrzymali alert RCB o zagrożeniu atakiem z powietrza. Nieco wcześniej DORSZ poinformowało, że w związku z atakami Rosji na terytorium Ukrainy rozpoczęło się operowanie lotnictwa wojskowego w polskiej przestrzeni powietrznej. Lotniska w Lublinie i Rzeszowie czasowo wstrzymały operacje lotnicze.

– Potwierdzamy jeszcze zapisy naszych systemów, ale mamy pierwsze wskazania, że (dron) najprawdopodobniej uderzył w cel bądź został zwalczony 4 km po tamtej stronie granicy, po stronie ukraińskiej – poinformował ppłk Goryszewski. **PAP**

eprasa.pl d72073f4ec

DROBNE

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

KREDYT na oświadczenie 781026832

Nauka

KOREPETYCJE

J. polski - kompleksowe przygotowanie do egzaminu 8-klasisty + j. angielski Tel. 661-049-194

Praca

ZATRUDNIĘ

DO zbioru owoców i warzyw przyjmę - Wtelno, tel. 663 247 006

EMERYTA / Rencistę do prac lekkich w przedszkolu przyjmę tel. 519123995

Zdrowie

LABORATORIA

DR n.med. Maciej Świtoński- chirurg choroby jelita grubego, choroba hemoroidalna, 602298213, 60-229-82-13, 602-298-213, Bydgoszcz

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

ZDUN 508-918-006

MONTAŻOWE

NAPRAWA okien, drzwi tel. 602720927

ROLETY ATRAKCYJNE CENY. Producent „GARDA" tel. 504166613

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

REKLAMA 0011575824

Zieleń Miejska
Zakład Pogrzebowy
UL. CZARTORYSKIEGO 13
24h / 7 - 52 324 99 99
WŁASNE KREMATORIUM

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

0011584999

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 16.09.2026 r. odszedł od nas

ś†p

Eugeniusz Duch

lat 79

Msza św. pogrzebowa zostanie odprawiona w sobotę, 19 września 2026 roku, o godz. 10:45 w kościele pw. św. Marka – Salezjanie. Ceremonia pogrzebowa rozpocznie się o godz. 12:00 w kaplicy na cmentarzu komunalnym przy ul. Wiślanej w Bydgoszczy.

W smutku pogrążona
Rodzina

0011583444

PODZIĘKOWANIE
Składamy serdeczne podziękowanie Pielęgniarkom i Pielęgniarzom ze Szpitala Uniwersyteckiego Nr 2 im. Dr. Jana Biziela w Bydgoszczy z Intensywnej Terapii Oddziału Klinicznego Chorób Wewnętrznych i Diabetologii za dobrą opiekę nad Naszą Mamą

Heleną Olesińską

Wdzięczna Rodzina

0011585064

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 15 września 2026 r. zmarła nasza ukochana Mama, Siostra, Babcia, Prababcia i Ciocia

ś†p

Teresa Liebert

lat 85

Msza św. żałobna zostanie odprawiona w kaplicy kościoła pw. Matki Boskiej Częstochowskiej w piątek 18 września 2026 r. o godz. 16.00. Ceremonia pogrzebowa, poprzedzona różańcem, odbędzie się w kaplicy cmentarza komunalnego przy ulicy Wiślanej w sobotę 19 września 2026 r. o godz. 9.30. Następnie odprowadzimy śp. Teresę na miejsce wiecznego spoczynku na tym samym cmentarzu.

W smutku pogrążona
Rodzina

0011585511

Pani
Joannie Brzustewicz-Ziółkowskiej

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Taty

składają

Koleżanki i Koledzy ze Szkoły Podstawowej nr 12 z Oddziałami Integracyjnymi w Bydgoszczy

0011585473

„Odeszłaś tak wcześnie, że ani uwierzyć – ani się pogodzić"

Z sercem pełnym bólu i smutku zawiadamiamy, że dnia 17 września 2026 r. odeszła od nas Nasza Kochana Mama i Babcia

ś†p

Elżbieta Weinrauder

lat 78

Ceremonia pogrzebowa odbędzie się 22 września 2026 r. (wtorek) o godz. 13.00 na cmentarzu komunalnym przy ul. Ludwikowo w Bydgoszczy.

W smutku pogrążeni
Córka i Wnuk

0011585054

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 16 września 2026 r. zmarł nasz Ukochany Mąż, Tata, Dziadek i Brat

ś†p

Jan Marciniak

lat 73

Msza św. pogrzebowa zostanie odprawiona w sobotę 19 września 2026 r. o godz. 9:00 w Kościele pw. św. Marka Ewangelisty (Salezjanie).
O godz. 10:00 w kaplicy cmentarnej zostanie odmówiony różaniec.
Następnie odprowadzimy śp. Jana na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarzu komunalnym przy ul. Wiślanej.

W smutku pogrążona *Żona i dzieci z rodzinami*

0011583545

„Już nigdy nie będzie jak dawniej...
Wspomnienia są jedynie echem minionego szczęścia, Pozostaje bezmiar smutku i tęsknota"

Z sercem pełnym bólu i smutku zawiadamiamy, że dnia 11 września 2026 r. odszedł od nas Nasz Ukochany Mąż, Tatuś, Teść, Dziadek, Pradziadek i Wujek

ś†p

Włodzimierz Bawej

Lat 91

Ceremonia pogrzebowa wraz z Mszą Św. odbędzie się 19 września 2026 r. (sobota) o godzinie 10.30 na cmentarzu parafialnym Bielawki przy ul. Wyszyńskiego w Bydgoszczy.
W smutku pogrążona
Rodzina

eprasa.pl d72073f4ec

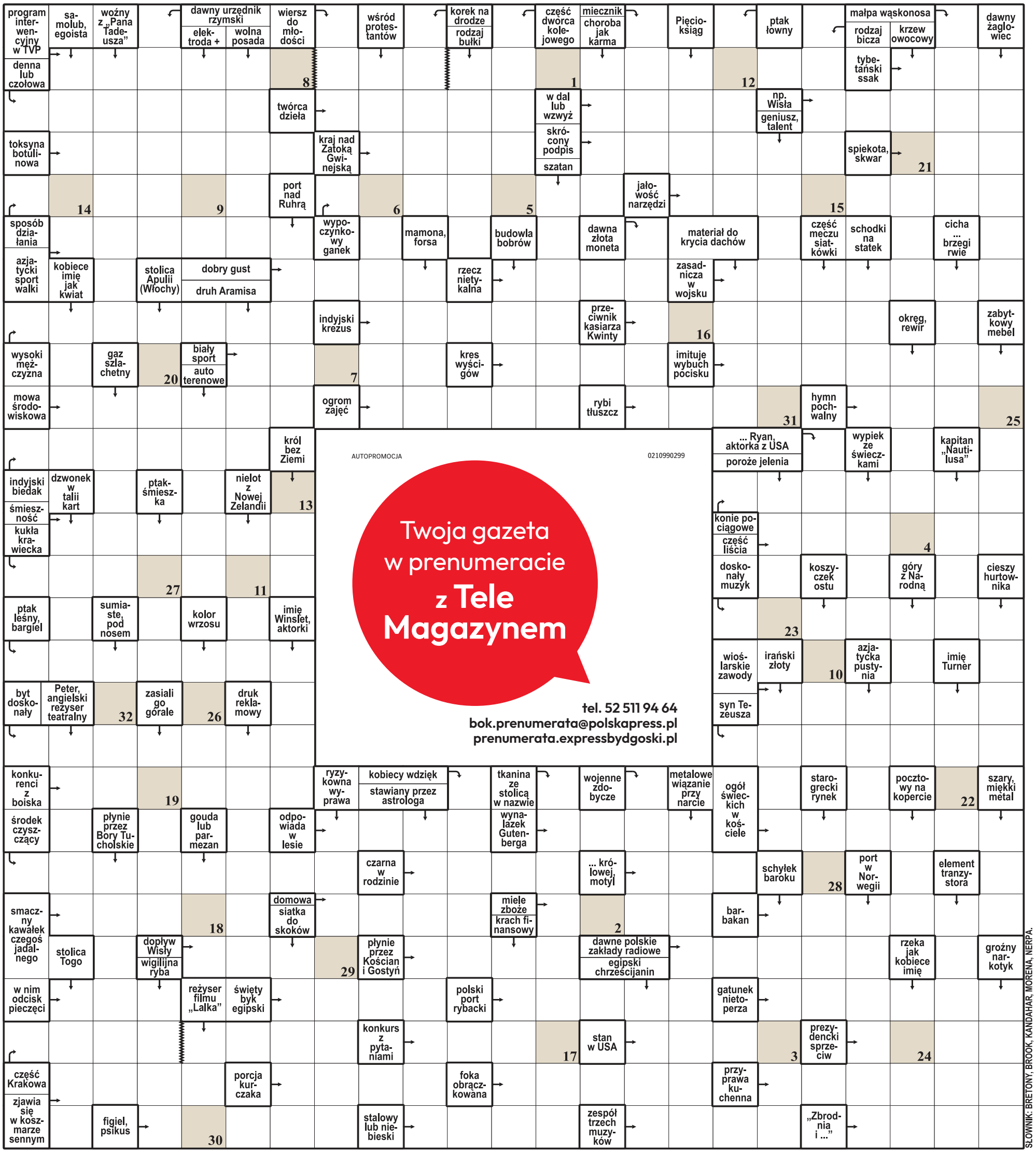

AUTOPROMOCJA
0210990299
Twoja gazeta w prenumeracie z Tele Magazynem
tel. 52 511 94 64
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.expressbydgoski.pl

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 32 utworzą rozwiązanie: Władysława Grzeszczyka.

eprasa.pl d72073f4ec

PIŁKA NOŻNA

Zawisza czeka na wicelidera. Mecz kolejki w Świeciu

W weekend kibiców futbolu czeka kolejna porcja emocji. Niebiesko-czarni bronić będą twierdzy Bydgoszcz. Olimpia kontynuując podróż po Polsce jedzie do Chojnic. Wda zagra co najmniej o utrzymanie miana drużyny niepokonanej.

Marcin Kozłowski

W 9. kolejce Betclic 2. Ligi Zawisza - po dwóch wyjazdach - wraca na Gdańską 163. Ze Stalowej Woli i Krakowa podopieczni trenera Adriana Stawskiego przywieźli cenne remisy. W całym sezonie beniaminek rozgrywek zgromadził 15 pkt. (4 wygrane, 3 remisy i porażka) i zajmuje wysokie 5. miejsce. Dwie trzecie „oczek" zdobył na własnym stadionie i będzie chciał obronić twierdzę Bydgoszcz.

Zadanie nie będzie jednak łatwe bo nad Brdę przyjeżdża Górnik Łęczna, wicelider tabeli. Spadkowicz z Betclic 1. Ligi w ostatniej kolejce rozbił 4:1 u siebie Legię II Warszawa - ma na koncie punkt więcej (5 zwycięstw, remis, 2 porażki) od Zawiszy. Aż 3 wygrane ekipa z Lubelszczyzny przywiozła z delegacji.

- W ostatnich sześciu meczach cztery razy wygraliśmy i dwa razy zremisowaliśmy. Teraz przed nami trzy spotkania na własnym boisku i musimy się do nich dobrze przygotować. Zawsze chcemy wygrywać i liczymy na kolejne punkty. Zapraszam kibiców na stadion - zapewniam, że pokażemy jak zawsze charakter i kawał dobrej piłki - mówi Adrian Stawski, trener Zawiszy.

Spotkanie z Górnikiem Łęczna już w piątek o godz. 18. Transmisja na stronie sport.tvp.pl

FOT. WOJCIECH MATUSIK

Po dwóch wyjazdach Zawisza wraca na swój stadion. Dziś gościć będzie Górnika Łęczna

Mecz sąsiadów w tabeli w Chojnicach

Olimpia kontynuować będzie objazd po Polsce. Tym razem jednak zespół trenera Dawida Pędziałka czeka jeden z najkrótszych wyjazdów - do Chojnic.

Biało-zieloni przed tygodniem zremisowali 1:1 w Kleczewie z Sokołem i z dorobkiem 12 pkt. (3 wygrane, 3 remisy, 2 porażki) są na 10. pozycji w tabeli Betclic 2. Ligi. Chojniczanka ostatnio rozbiła 5:1 na wyjeździe Świt Szczecin i wskoczyła na 11. miejsce mając „oczko" (3 zwycięstwa, 2 remisy, 3 przegrane) mniej od Grudziądzan.

- Całą rundę gramy na wyjazdach, dokładamy punkt po punkcie i z każdego trzeba się cieszyć. Zapomnieliśmy już o meczu w Kleczewie i myślimy o Chojniczance. Na to spotkanie wypadają nam ze składu Kacper Cichoń i Szymon Michalski, ale mamy szeroką kadrę i sobie z tym poradzimy - mówi Dawid Pędziałek, trener Olimpii.

Spotkanie w Chojnicach odbędzie się w sobotę o godz. 17. Transmisja na stronie pzpnplus.pl.

Wda chce być dalej niepokonana

W najciekawszym meczu 9. kolejki Betclic 3. Ligi zespół ze Świecia gościć będzie w sobotę (godz. 12) Kluczevię Stargard. To będzie starcie trzeciej i czwartej ekipy, które dzielą zaledwie 2 punkty. Wda nie zaznała jeszcze goryczy porażki w sezonie 2026/2027 i będzie chciała podtrzymać tę świetną passę. W dwóch dotychczasowych spotkaniach sobotnich rywali padły remisy.

Chemik Bydgoszcz zmierzy się z KKS Kalisz (sobota, godz. 12). Beniaminek będzie chciał wreszcie wygrać na boisku, ale zadanie nie będzie łatwe. Spadkowicz z Betclic 2. Ligi ma 6 pkt. więcej i jest aż siedem lokat wyżej w tabeli.

Szesnasta Elana Toruń gościć będzie (sobota, godz. 14) Lecha II Poznań (6. miejsce). Żółto-niebiescy będą chcieli przerwać fatalną serię pięciu porażek z rzędu. Rezerwy mistrzów Polski zgromadziły jednak dotychczas aż 9 pkt. więcej od gospodarzy punkty.

8. kolejka 4. Ligi Kujawsko-Pomorskiej - piątek: Kujawiak Kowal - Orlęta Aleksandrów Kujawski (godz. 17.15); **sobota:** Łokietek Brześć Kujawski - Rawys Raciąż (11), Wisła Dobrzyń nad Wisłą - Noteć Gębice (12), Mustang Ostaszewo - Victoria Czernikowo (13), Unia Solec Kujawski - Pomorzanin Toruń (13), Tłuchowia Tłuchowo - Skrwa Skrwilno (15), Pogoń Mogilno - Sparta Brodnica (16), Unia Wąbrzeźno - Cuiavia Inowrocław (16), Lech Rypin - Start Pruszcz (16). ©℗

PIŁKA NOŻNA

Olimpia Grudziądz poznała rywala w 1/16 finału STS Pucharu Polski

Marcin Kozłowski

Termalica Nieciecza będzie przeciwnikiem biało-zielonych w II rundzie prestiżowych rozgrywek Tysiąca Drużyn. Mecze tej fazy rywalizacji zaplanowano na 27-29 października.

Podopieczni trenera Dawida Pędziałka występują w Betclic 2. Lidze, czyli na szczeblu centralnym i nie muszą grać w Pucharze Polski Kujawsko-Pomorskiego Związku Piłki Nożnej. Walkę o STS Puchar Polski rozpoczęli jednak już od rundy wstępnej. W Świeciu (stadion w Grudziądzu jest remontowany) pokonali 5:3 po dogrywce Świt Szczecin, ligowego rywala.

W pierwszej rundzie Olimpia miała zagrać z Górnikiem II Zabrze, który został rozwiązany przez Lukasa Podolskiego, nowego właściciela śląskiego klubu. Naprzeciwko biało-zielonych stanęła drużyna Górnika U19. Grudziądzanie z wielkim trudem pokonali tę przeszkodę zwyciężając 4:3, a gola na wagę awansu do 1/16 finału zdobyli dopiero w doliczonym czasie gry.

Trzeciego rywala w STS Pucharze Polski Olimpia poznała wczoraj. Losowanie odbyło się w studio TVP Sport, a kolejne pary kompletowali Jakub Wawrzyniak, były reprezentant Polski i Łukasz Wachowski, sekretarz generalny Polskiego Związku Piłki Nożnej.

Grudziądzanie długo musieli czekać na swojego przeciwnika. Dopiero w dwunastej parze zostali dolosowani do Termaliki Nieciecza. To spadkowicz z PKO BP Ekstraklasy, który obecnie zajmuje 4. miejsce na zapleczu elity. Biało-zieloni będą gospodarzem spotkania, ale nie zagrają prawdopodobne w Grudziądzu bo ich stadion ciągle jest w remoncie.

FOT. LUCYNA NENOW

Po Górniku II Zabrze kolejnym rywalem Olimpii Grudziądz w STS Pucharze Polski będzie Termalica Nieciecza

- Termalica - po słabszym starcie - jest na fali wznoszącej i z pewnością zamierza wrócić do ekstraklasy. Uważam jednak, że nie stoimy na straconej pozycji i na pewno powalczymy o awans. Sportowo stać zespół na przejście tego rywala. Niestety, wiele wskazuje, że spotkanie nie odbędzie się w Grudziądzu. Rywal nie ma jednak zorganizowanych grup kibicowskich, co w naszej sytuacji jest bardzo ważne. Łatwiej będzie bowiem znaleźć zastępczy stadion i nie stracimy wiele finansowo. Wiadomo, że na organizacji meczu na swoim stadionie z bardziej atrakcyjnym rywalem moglibyśmy sporo zyskać - komentuje losowanie Tomasz Asensky, prezes grudziądzkiego klubu.

Pozostałe pary 1/16 finału STS Pucharu Polski: Chrobry Głogów - Polonia Bytom, Siarka Tarnobrzeg - Lech Poznań, Sokół Kleczew - Podhale Nowy Targ, Avia Świdnik - Radomiak Radom, Arka Gdynia - Stal Rzeszów, Polonia Środa Wielkopolska - Śląsk II Wrocław, Motor Lublin - Raków Częstochowa, Lechia Gdańsk - Jagiellonia Białystok, Polonia Warszawa - Korona Kielce, Puszcza Niepołomice - Wisła Płock, Znicz Pruszków - Ruch Chorzów, Piast Gliwice - Górnik Zabrze, Odra Opole - Śląsk Wrocław, Górnik Łęczna - GKS Katowice, GKS Tychy - Pogoń Siedlce. ©℗

eprasa.pl d72073f4ec

Sport

• **Siatkówka** Polska w ostatnim meczu grupowym mistrzostw Europy przegrała 2:3 (25:20, 29:31, 23:25, 25:19, 18:20) z Bułgarią. W 1/8 finału nasza drużyna zmierzy się z Łotwą

HOKEJ

Turniej Marszałka, czyli same derby. Będą testy nowego gracza w Toruniu

Joachim Przybył

To będzie generalny sprawdzian dla Arrivy Lotto Toruń, Anwilu Włocławek i Enea Łaciate Astorii Bydgoszcz przed sezonem.

To już tradycja, że marszałek Piotr Całbecki tuż przed sezonem ligowym zaprasza na turniej najlepsze drużyny z regionu. Zwykle grały cztery, ale Qemetica Noteć w piątek zaczyna już rozgrywki I ligi, więc tym razem zobaczymy w turnieju trzy mecze z udziałem ekstraklasowych drużyn.

Poprzednie trzy turnieje rozegrano w Inowrocławiu, Bydgoszczy i Włocławku. Za każdym razem triumfował Anwil. Tym razem włocławianie rozpoczną grę w piątek od starcia z Twardymi Piernikami (18.00, hala główna Areny Toruń). Nie wiadomo czy obrońca trofeum zagra w pełnym składzie, przed tygodniem w Splicie zabrakło Szymona Wójcika, Jacka Forresta i Adama Brenka.

W barwach gospodarzy nie będzie Maksymiliana Wilczka, który z powodu złamania kości dłoni może pauzować 2-3 miesiące. W składzie pojawi się za to Raymond Cowels, który kilka dni temu dołączył do treningów toruńskiej drużyny.

Doświadczony Amerykanin poprzedni sezon spędził w Treflu Sopot (śr. 8,5 pkt i 2 zbiórki), wcześniej grał w Stargardzie, Legii Warszawa i MKS Dąbrowa Górnicza. Niewykluczone, że podpisze w Toruniu kontrakt, ale to wiązałoby się z wykupieniem dodatkowej licencji dla obcokrajowca. Decyzja jeszcze nie zapadła.

W sobotę o godz. 16.00 w hali bocznej Areny Toruń Anwil zmierzy się z Enea Łaciate Astorią Bydgoszcz. W niedzielę o godz. 16.00 w hali głównej z Astą zagrają z kolei gospodarze.

Pierwsze ligowe emocje

W piątek wyjazdowym meczem z WKK Wrocław (18.00) rozpoczynają sezon koszykarze Qemetica Noteci Inowrocław. Trener Krzysztof Szubarga zbudował nowy zespół, ściągając latem kilku wyróżniających się graczy na zapleczu PLK. Nic więc dziwnego, że nikt w klubie nie chce już drżeć o utrzymanie, jak w poprzednim sezonie. - Cel jest postawiony jasno: awans do fazy play off, a chcemy nawet jeszcze mocniej zamieszać - mówi prezes Przemysław Rakowski.

Turniej koszykarek w Bydgoszczy: Piątek: 16.00 Energa Toruń - Herner TC, 18:30 Artego Bydgoszcz - Polonia Warszawa. Sobota: 10.30 Artego - Herner TC, 13.00 Energa - Polonia.

KRÓTKO

Siatkówka

Emocje pod siatką

Przed własną publicznością zagrają w piątek siatkarze BKS Bydgoszcz, w meczu 2. rundy Tauron 1. Ligi. Ich rywalem będzie ekipa Avii Świdnik, mecz rozpocznie się o godz. 18.00 (hala Łuczniczka).
CUK Anioły Toruń swój mecz tej rundy rozegrają dopiero 30.09. W ten weekend emocji jednak w Toruniu także nie zabraknie. Klub zaprasza na kolejną odsłonę Copernicus Volleyball Cup. To już czwarta odsłona tej imprezy i jak zwykle, nie zabraknie w hall SP 28 drużyn z Tauron Ligi. Kibice zobaczą PGE Projekt Warszawa, trzykrotnego z rzędu brązowego medalistę ligi siatkarzy oraz Stilon Gorzów. Tegoroczna edycja rozpocznie się w sobotę 19 września o godzinie 15:00. W pierwszym spotkaniu Cuprum Stilon Gorzów zmierzy się z ICT PIERROT Czarnymi Radom. O godzinie 18:00 na parkiet wyjdą gospodarze, CUK Anioły Toruń podejmą PGE Projekt. W niedzielę zaplanowano mecze o miejsca: w południe o trzecie, o godz. 15.00 finał turnieju.

ŻUŻEL

Pres jedzie po złoto, Polonia po wyczekiwany awans

FOT. SŁAWOMIR KOWALSKI/ JAROSŁAW PABIJAN

Żużlowcy z Torunia liczą, że na Motarenie wypracują sobie dobrą zaliczkę punktową przed rewanżem we Wrocławiu. Abramczyk Polonii wystarczy remis, by spełnić marzenie bydgoskich kibiców

M.Zimna, J.Przybył

To może być bardzo udana niedziela dla kibiców w Toruniu i Bydgoszczy. Pres liczy na dobre otwarcie walki o złoto, Polonia na miejsce w elicie.

W pierwszym meczu o mistrzostwo PGE Ekstraligi Pres podejmie Spartę Wrocław. - To bardzo trudny przeciwnik, ostatnio jeździ na wysokim poziomie. Spróbujemy powalczyć o marzenia nasze i kibiców. Zapominamy już o półfinałach, to będzie nowe rozdanie - podkreśla Piotr Baron, menedżer toruńskiej drużyny.

W zespole jest duży optymizm po półfinale, w którym „Anioły" gładko rozprawiły się z Motorem Lublin.

Robert Lambert: - Nie mogę się doczekać pierwszego meczu finałowego. Oczywiście Sparta, to bardzo silna drużyna, ale innych w ekstralidze nie ma. Pojedziemy pewni siebie i z mentalnością, by powalczyć o tytuł. Jeśli wszyscy damy z siebie sto procent, nie widzę powodu, żebyśmy osiągnęli celu.

- Ostatnie tygodnie były dla mnie zdecydowanie lepsze. Tor trochę się zmienił i wydaje się, że bardziej mi pasuje - dodaje Mikkel Michelsen. - Wprowadziliśmy też trochę zmian w sprzęcie, więc muszę podziękować mojemu tunerowi. Odwracam złą passę w najlepszym momencie.

Świetną passę kontynuują juniorzy. W środę na Motoarenie Antoni Kawczyński był niepokonany, a Mikołaj Duchiński zgubił tylko punkt w trzecim finale DMPJ.

Pres Toruń w finale pojedzie w optymalnym składzie, przynajmniej na dziś, bo jeszcze w sobotę w kolejnej rundzie SEC startują Patryk Dudek i Mikkel Michelsen. W barwach Sparty zabraknie na Motoarenie kontuzjowanego Bartłomieja Kowalskiego.

W sezonie zasadniczym Pres pokonał Spartę 48:42, ale wtedy nie było w składzie Patryka Dudka. Wrocławianie byli osłabieni brakiem Daniela Bewleya, ale stosowali wówczas zastępstwo zawodnika. Brytyjczyk wrócił już do jazdy i to w świetnej formie, w półfinałowym dwumeczu z Unią Leszno zdobył 22 punkty.

PRES: 9. Dudek, 10. Lambert, 11. Bloedorn, 12. Michelsen, 13. Sajfutdinow, 14. Duchiński, 15. Kawczyński
SPARTA: 1. Bewley, 2. Janowski, 3. Kowalski, 4. Kurtz, 5. Łaguta, 6. Kowolik, 7. Andersen

PGE Ekstraliga
Finał: Pres Toruń - Sparta Wrocław, niedziela, godz. 19.30. Mecz o 3. miejsce: Unia Leszno - Motor Lublin, niedziela, godz. 17.00. Mecz o 7. miejsce: Stal Gorzów - Włókniarz Częstochowa, piątek, godz. 20.30. Transmisje w Canal+Sport i Canal+online

Po latach wyczekiwania, odbudowy finansów i sportowej pozycji Abramczyk Polonia może wreszcie spełnić marzenia bydgoskich kibiców. Do celu zostało 15 wyścigów.

Lepszego momentu na awans może już nie być. Drużyna ma za sobą udany sezon, fenomenalnych młodzieżowców i wsparcie tysięcy fanów. Ma też niezły wynik z pierwszego meczu; remis w Poznaniu to niezła pozycja wyjściowa przed rewanżem, zwłaszcza dla faworyta rywalizacji.

- W niedzielę zaczniemy od zera i trzeba pozostać mocno skoncentrowanym - przestrzega jednak Dariusz Śledź, trener Polonii. - Rywale będą jeszcze chcieli powalczyć.

Ta ostrożność nie dziwi. To trzeci z rzędu finał bydgoskiej drużyny, a poprzednie dwa były nieudane. Zwłaszcza ten w 2024 roku, gdy Abramczyk Polonia mierzyła się z ROW. Ekipę z Rybnika pewnie pokonała dwa razy w rundzie zasadniczej i przed finałem była faworytem. Pierwszy mecz skończyła jednak na 10-punktowym minusie, w rewanżu do awansu zabrakło punktu. Kolejny rok to stracie z Unią Leszno i choć to rywale byli głównym kandydatem do awansu, poloniści mieli ich „na widelcu" w pierwszym spotkaniu. Prowadzili już nawet różnicą 14 punktów, ale fatalnie rozegrali końcówkę meczu. Skończyło się remisem, potem przegranym dwumeczem.

Teraz wszystko wydaje się być dopięte na ostatni guzik. Klub „poświęcił" nawet Drużynowe Mistrzostwa Polski Juniorów, wycofując z dwóch ostatnich rund swoich najlepszych zawodników - Maksa Pawełczaka i Wiktora Przyjemskiego. Wszystko po to, by nic niespodziewanego nie zniszczyło ostatnich miesięcy ciężkiej pracy drużyny i sztabu.

W klubie ostrożność, ale kibice już szykują się na wielką fetę. Bilety na finałowy mecz wyprzedały się błyskawicznie. Trybuny będą więc pełne, a atmosfera zapewne znakomita.

POLONIA: 9. Woźniak, 10. Kostera, 11. Huckenbeck, 12. Łoktajew, 13. Buczkowski. 14. Pawełczak, 15. Andrzejewski, 16. Ptrzyjemski
PSŻ: 1. Smektała, 2. Berge, 3. Iversen, 4. Pludra, 5. Douglas, 6. Mencel, 7. Witkowski

Metalkas 2. Ekstraliga
Finał: Abramczyk Polonia Bydgoszcz - PSŻ Poznań, niedziela, godz. 14.45. Mecze o 5-6 miejsce: Stal Rzeszów - Polonia Piła, piątek, godz. 18.00. Ostrovia Ostrów - Wilki Krosno, niedziela, godz. 12.30. Transmisje w Canal+Sport5 i Canal+online

eprasa.pl d72073f4ec